



# *Raye Morgan*



## *Skradzione pocałunki*

**„Zona dla prezesa” 02**

## **ROZDZIAŁ PIERWSZY**

- Zaraz się dowiemy! - szepnęła Shelley Sinclair do koleżanki siedzącej obok niej.

Jaye Martinez skinęła głową i uśmiechnęła się.

Shelley wzięła głęboki oddech, zacisnęła powieki i rozłożyła trzymany w ręku dokument.

Allman Industries, Zespół A Zamiana stanowisk:

Rafe Allman i Shelley Sinclair

Z przerażeniem wpatrywała się w nagłówek. O, nie! Tylko nie Rafe Allman!

Jaye zerknęła na swój papier, a potem przechyliła się, żeby zobaczyć, co dostała Shelley. Jej oczy zrobiły się okrągłe ze zdumienia.

- Nie możesz pokazać, że się boisz - szepnęła, marszcząc brwi. - Tacy mężczyźni są jak groźne psy. Kiedy zwęszą strach, rozerwą człowieka na kawałki.

Shelley zszokowana informacją, kto będzie jej partnerem w konkursie, nie zrozumiała od razu koleżanki.

- Co? - spytała.

Jaye poklepała ją po ramieniu, śmiejąc się.

- Żartuję. Rafe Allman nie jest taki straszny. Prawdę mówiąc, to chyba najprzystojniejszy szef w tej części Teksasu, więc lepiej znosić jego humory, jeśli to konieczne.

- Mów za siebie - wymamrotała Shelley, zerkając na nazwisko partnera, który przypadł Jaye. - Ty masz Tannera - westchnęła z zazdrością. - On jest taki słodki. Na pewno będzie ci się świetnie pracowało.

Jaye pokiwała głową z zachwytem.

- Myślę już o tym, jak owinać go sobie wokół palca. Mam całe cztery dni, żeby go przekonać, że jestem jedyną kobietą na świecie, która zasługuje na jego uwagę. Jakie dajesz mi szanse?

Shelley uśmiechnęła się z zadumą, spoglądając na śliczną koleżankę, której czarne włosy kontrastowały z jej bardzo jasnymi.

- Już po nim. Nie mam co do tego absolutnie żadnych wątpliwości.

Jaye zrobiła minę niewiniątka, co musiało rozbawić Shelley. Potem wstała, dołączając do tłumu zebranych, którzy zaczęli wychodzić z sali.

Shelley włożyła swoje dokumenty do firmowej reklamówki i podążyła za Jaye. Kiedy w sali zrobiło się luźniej, bo większość gości zdążyła już wyjść do foyer luksusowego hotelu, w którym odbywała się konferencja, zobaczyła, że Rafe Allman i Jim Tanner czekają na nie przy wyjściu.

Jęknęła cicho, nie mając wcale ochoty spotkać się z wyznaczonym jej partnerem. Na jego widok serce zabiło jej gwałtownie. Idąc powoli w stronę drzwi, miała okazję przyjrzeć się obu mężczyznom.

Jim Tanner, jasnowłosy i wysoki, miał w oczach wesołe iskierki i pogodny wyraz twarzy.

Rafe Allman był w zupełnie innym typie. Równie wysoki, ale barczysty, emanował siłą, której nie miał Jim Tanner. Jego ciemne oczy błędziły niespokojnie, a wyraz twarzy nie był wcale dobrotliwy, lecz cyniczny.

Mimo to z całą pewnością był przystojny. Wiele kobiet prawdopodobnie z przyjemnością spędziłoby cztery dni w jego towarzystwie.

Niestety to nie odnosiło się do Shelley. Może zbyt długo - i zbyt dobrze - go znała, żeby pragnąć z nim kontaktu. Zawsze wydawało jej się, że Rafe ma w sobie jakąś dzikość, jak zwierzę, które nie zostało w pełni poskromione.

Odrzucił do tyłu głowę na widok Shelley i jej koleżanki. Potem uśmiechnął się przyjaźnie do Jaye, ale jego wzrok spochmurniał, gdy spojrzał na Shelley. Nie szkodzi, pomyślała, unosząc buńczucznie brodę. Będzie z nim współpracować, skoro nie ma innego wyjścia, ale oczywiście powinna mieć się na baczności.

Rafe był faktycznym szefem Allman Industries, firmy stanowiącej centrum dystrybucyjne dla miejscowych winiarni w Teksasie, choć jego ojciec figurował wciąż jako oficjalny prezes firmy. Rolę zarządcy wypełniał w sposób rygorystyczny i surowy.

- Jak owieczki prowadzone na rzeź - wymamrotała pod nosem Jaye, kiedy zbliżały się do partnerów.

- Kto? My czy oni? - Shelley odniosła wrażenie, że jej koleżanka ocenia sytuację z zupełnie innej perspektywy.

- Nie otrzymałyśmy wyczerpujących informacji - rzuciła zaczepnie Jaye, spoglądając na obu mężczyzn. - Skąd mamy wiedzieć, co trzeba robić?

- Właśnie dlatego zaproponowaliśmy spotkanie - odparł Rafe z błyskiem rozbawienia w oku. - Liczymy na waszą legendarną drobiazgowość i dokładność.

- Podzielimy się obowiązkami - rzuciła lekkim tonem Shelley. - Na następne zebranie stawiać się tylko panowie, a Jaye i ja pójdziemy na wagary.

Zaskoczony Rafe uniósł brew. Może myślał, że pozwala sobie na zbyt wiele? W końcu był dyrektorem zarządzającym Allman Industries, a ona tylko pracownicą niższego szczebla. Nawet nie podejrzewał, jak bardzo się to zmieni. Na samą myśl o tym Shelley zabiło mocniej serce.

Kiedy ich spojrzenia spotkały się przelotnie, uświadomiła sobie, że Rafe nie zapomniał o sylwestrowym przyjęciu. Przez chwilę wydawało się wtedy, że ich znajomość przekształci się w romans. To była zaledwie iskierka i potem

przez cały rok unikali się nawzajem, choć przecież pracowali w jednej firmie. Za każdym razem, gdy przypadkiem się spotykali, oboje przypominali sobie, co się stało.

- Mamy zarezerwowany stolik w barze - powiedział Jim Tanner. -  
Chodźmy porozmawiać przy drinkach.

Jaye ochoczo wzięła go pod ramię, oświadczając, że będzie bardzo zaskoczony, gdy dowie się, jaki jest w tym roku temat konkursu. Shelley i Rafe maszerowali sztywno obok siebie, próbując ignorować się nawzajem.

W barze było dosyć tłoczno, ale dwoje znajomych z firmy zajęło zarezerwowany stolik i już wkrótce cała szóstka siedziała obok siebie. Shelley śmiała się, rozmawiając z przyjaciółmi, ale kątem oka zauważyła, że Rafe wybrał miejsce jak najdalej od niej.

- Bardzo chciałabym, żeby ktoś mi wytłumaczył, co właściwie mamy robić - powiedziała płaczkliwym głosem Dorie Berger, sympatyczna młoda asystentka. - Wszyscy twierdzą, że to zaszczyt uczestniczyć w tym konkursie, ale nikt do tej pory nie powiedział mi, o co w tym wszystkim chodzi.

Rafe się uśmiechnął.

- Zaraz się dowiesz - odpowiedział.

Shelley odniosła wrażenie, że to podziw dla obcisłego sweterka Dorie wywołał ten uśmiech.

- Konkurs odbywa się co roku w innym mieście - ciągnął Rafe. - Każda firma może zgłosić trzy zespoły złożone z siedmiu pracowników, które przez cztery dni szykują się do prezentacji. Ostatniego dnia każdy zespół występuje przed sędziami i zwycięzca otrzymuje nagrodę wysoko ocenianą w całej branży.

- Ale po co to wszystko? - nie mogła zrozumieć Dorie.

- Po to, żebyśmy wyszli ze sztywnych ram myślenia i rozwijali kreatywność - wtrącił Jim Tanner. - Ten konkurs ma nas zachęcić do osiągnięcia lepszych wyników w pracy.

- Niezupełnie - zaproponował Rafe, i wszyscy natychmiast ucichli, czekając, co powie dalej.

Ta reakcja rozzłościła Shelley. Dlaczego oni tak się zachowują, jakby Rafe był jakimś nowym Einsteinem? Przecież to tylko zwykły facet, choć niewątpliwie bardzo przystojny, dynamiczny i pełen charyzmy. Ale nic poza tym.

- Najważniejsze jest to - powiedział dobitnie Rafe - żeby przedstawić najlepszą prezentację w konkursie. Trzeba zetrzeć innych współzawodników w proch. Najważniejsze to... - uniósł delikatnie kieliszek i z dumnym błyskiem w oku potoczył wzrokiem po zebranych - najważniejsze to zwyciężyć.

- Racja, racja! - zawołała Jaye i wszyscy stuknęli się kieliszkami.

Shelley bez przekonania dołączyła do toastu. Nie była pewna, czy rola liderki zespołu naprawdę jej odpowiada. Przez cały czas będzie musiała walczyć z Rafe'em. Czy potrafi sobie z tym poradzić?

Nie może jednak zadrećcać się wątpliwościami. Pomyśli o tym później, gdy zostanie sama. Teraz musi robić dobrą minę, bo jest pod ostrzałem spojrzeń Rafe'a.

- Jak wyglądają te konkursy? - spytała Dorie.

- Co roku jest inaczej - powiedział Jim. - W jednym z konkursów trzeba było zorganizować kampanię wyborczą dla wybranego polityka. Należało przygotować hasła wyborcze i przemówienia.

- W zeszłym roku - wtrąciła z uśmiechem Shelley - zadanie polegało na tym, żeby stworzyć dziesięciminutowy musical reklamujący dany produkt. Każdy członek zespołu musiał śpiewać co najmniej przez minutę.

- O, nie!

- Czy wygraliśmy? - spytał Rafe, przyglądając się jej z uwagą.

- Zespół A był chyba piąty - odparła z wahaniem. - Ale to zupełnie niezły wynik, skoro w konkursie startowały dziewięćdziesiąt dwa zespoły - dodała szybko, widząc jego skrzywioną minę.

- Czy w zeszłym roku też brałaś udział w konkursie? - spytał, przeszywając ją wzrokiem. - Wydawało mi się, że obowiązuje zasada trzyletniej rotacji.

Udział w konkursie był uważany za przywilej i firma dbała o to, żeby każdy pracownik co trzy lata mógł w nim uczestniczyć.

- Tak - przyznała. - W tym roku miał przyjechać Harvey Yorgan, ale jego żona wcześniej urodziła, więc w ostatniej chwili zgłosiłam się na ochotnika.

Prawdę mówiąc, Shelley miała swój ukryty cel, ale nikomu by go nie zdradziła. A już na pewno nie Rafe'owi Allmanowi.

- No, to dobrnęliśmy do sedna sprawy - powiedział, spoglądając na nią z wyczekiwaniem. - Jakie zadanie czeka nas tym razem?

Shelley oblizwała wyschnięte wargi.

- W tym roku jeden członek zespołu musi zamienić się z szefem.

Rafe wpatrywał się w nią tępym wzrokiem, więc musiała powtórzyć wszystko jeszcze raz.

- Osoba pełniąca najwyższą funkcję w danym zespole stanie się szeregowym pracownikiem - wyjaśniła - a jeden z pracowników będzie nowym szefem.

W powietrzu zawisł nastrój oczekiwania. Rafe zastanawiał się przez chwilę, po czym wzruszył ramionami.

- Świetnie - oznajmił, uśmiechając się sarkastycznie. - W takim razie nie muszę nic robić.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Wszyscy z wyjątkiem Shelley. Rafe patrzył jej prosto w oczy, a ona dzielnie znosiła to spojrzenie. Choć serce biło jej mocno, postanowiła, że nie da się zastraszyć.

- Kogo ma dotyczyć ta zamiana? - spytał wreszcie, choć z pewnością już się domyślał.

- Jaye zamieni się z Jimem - odparła, uśmiechając się do koleżanki. - A ty ze mną - dodała, starając się, by zabrzmiało to stanowczo.

- Interesujące - powiedział, unosząc brew.

Jego ton i wyraz oczu sprawiły, że dreszcz przeszedł jej po plecach.

„Nie możesz pokazać, że się boisz”, powiedziała Jaye. Żartowała, nawet nie przypuszczając, jak jest bliska prawdy. Shelley musi przestać się oszukiwać. Ten mężczyzna ją przerażał.

Właściwie nie było ku temu żadnych powodów. Rafe raczej nie miał zwyczaju wyzywać się na pracownikach. Jednak jego urok działał na nią jak narkotyk. Może to była wina jej słabego charakteru, a może miała wrodzoną słabość do mężczyzn o ciemnych oczach i ostro zarysowanych podbródkach, tak jak niektóre kobiety mają słabość do wina czy czekolady. W każdym razie ten mężczyzna ją pociągał, choć wiedziała, że znajomość z nim może okazać się dla niej zgubna.

- Co mamy robić? - spytał wreszcie. - Stepować w rytm piosenki reklamującej naszą firmę?

- Wpaść na pomysł, jak podnieść wydajność naszej firmy - odparła, uśmiechając się z przymusem.

Rafe spojrzał na nią badawczo.

- Chodzi o coś ekstra oprócz realizacji sprzedaży produktu, tworzenia nowych miejsc pracy, premii dla pracowników i wzrostu zysków?

- Tak.



- W porządku. - Z uśmiechem rozparł się na krzesło, popijając drinka. Potem pewnym siebie wzrokiem potoczył po zebranych. - Nie musisz się martwić. Ja się tym zajmę.

Tego było już za wiele. Jak mógł podobać się jej mężczyzna, który jednocześnie tak ją irytował? Najgorszy był ten protekcjonalny ton. Shelley nie zapomniała, jak w dzieciństwie Rafe zawsze jej dokuczał. Sięgnęła do teczek z materiałami konkursowymi, wyjęła broszurę informacyjną i położyła ją przed nim na stole.

- To jest moje zadanie - powiedziała, starając się zachować spokój. - Już podjęłam decyzję, żeby zwołać zebranie w celu omówienia naszej strategii.

- Po co? - spytał ze zdziwieniem.

No tak, bez wątpienia czeka ją ciężka praca. Rafe nie odda władzy bez walki. Wcale nie chciał słuchać jej poleceń. Cóż, będzie musiał.

- Nie ma czasu do stracenia - odparła, ucinając dyskusję. - Spotkamy się o piątej w moim pokoju. Zawiadom wszystkich, Rafe. Oto lista członków naszego zespołu. - Uśmiechnęła się chłodno, choć w środku aż kipiała z wściekłości. - To twoje pierwsze zadanie.

Rafe zmrużył oczy. Shelley miała wrażenie, że wszyscy obecni wstrzymali oddech, czekając, co będzie dalej. Musiała zrobić następny krok, zanim Rafe zdąży zareagować.

Zgarnęła torebkę i dokumenty, po czym szybko wstała z krzesła.

- Och, jeszcze jedno, Rafe - rzuciła, czując, że serce bije jej mocno z wrażenia. - Czy przez następne cztery dni możesz zwracać się do mnie „panno Sinclair”? Dzięki temu będziesz pamiętał o naszych nowych rolach.

Uśmiechnęła się słodko do zdumionych koleżanek i kolegów, po czym jej wzrok padł na Rafe'a. Czy na jego twarzy malowała się złość? Rozbawienie? A może szyderstwo?

Trudno powiedzieć. Ale nie miała czasu się nad tym zastanawiać. Musi natychmiast wyjść, jeśli nie chce wszystkiego zepsuć.

- Do zobaczenia o piątej - rzuciła swobodnie.

Była już przy drzwiach, gdy Rafe wygłosił jakąś uwagę i w odpowiedzi wszyscy wybuchnęli gromkim śmiechem. Czy się z niej nabijał? Na pewno. Poczula, że robi się jej gorąco. Chyba poczerwieniała jak piwonია.

- Do diabła z tobą, Allman - mruknęła pod nosem, idąc szybko w kierunku windy. Ależ cię nie znoszę!

O piątej Shelley czekała na zaproszonych gości, nerwowo przesuwając krzesła i ścisząc radio. Co będzie, jeśli Rafe zlekceważy ją i nie przyjdzie? A jeśli nie zawiadomi pozostałych członków zespołu? Albo przyjdzie i przez cały czas będzie z niej kpił?

To niemożliwe. Zobaczymy!

Ona i Rafe znali się od dwudziestu lat. Przyjaźń z jego siostrą Jodie sprawiła, że Shelley czasem wręcz mieszkała u Allmanów. Jej matka była wiecznie zajęta prowadzeniem własnej kawiarni. Shelley całymi dniami bawiła się z Jodie, za to bez przerwy kłóciła się z jej bratem. Rafe zawsze znalazł powód, żeby się z niej wyśmiewać. Kiedy miała jedenaście lat i po raz pierwszy włożyła biustonosz, Rafe przy kolacji nie omieszkał poinformować o tym wszystkich obecnych. Twarz wciąż paliła ją ze wstydu na wspomnienie tego, jak cała rodzina Allmanów z rozbawieniem i zdziwieniem patrzyła na jej mizerny biust.

Szkoda, że nie mogła go wtedy zamordować.

Nieważne. Przez ten weekend jest skazana na jego towarzystwo, więc musi sobie jakoś poradzić. Na pewno Rafe jest wściekły, że Shelley ma być jego szefową, choć oczywiście to nie będzie trwało długo. Wiedziała, że przez

cały czas będzie musiała prowadzić z nim ostrą walkę, bo inaczej Rafe znokautuje ją przy pierwszej okazji.

Jaka szkoda, że to nie Matt przyjechał z nimi na konferencję. Matt był starszy, mądrzejszy i znacznie miłszy. Był dla niej ideałem starszego brata, którego nigdy nie miała. Zrobiłaby dla niego dosłownie wszystko.

Podskoczyła gwałtownie, bo ktoś nagle zapukał. Wzięła głęboki oddech i szybko otworzyła drzwi.

- Dobry wieczór, panno Sinclair! - odezwał się szyderczo Rafe.

Za nim stała cała reszta zespołu. Shelley przebiegła wzrokiem po gościach. Candy Yang, kierowniczka działu prawnego, będzie świetną asystentką. Shelley współpracowała już z nią w przeszłości. Jerry był dyrektorem finansowym, ale w domu zajmował się stolarką i mógłby z powodzeniem nadzorować budowę. Śliczna mała Dorie Berger niedawno zaczęła pracę w biurze. Ta słodka istota zrobi wszystko, co się jej powie. Ostatnich dwóch osób Shelley nie znała zbyt dobrze, ale wyglądały sympatycznie.

- Oto jesteśmy, wierni słudzy - powiedział Rafe, robiąc krok naprzód - i czekamy na rozkazy naszej królowej.

- Świetnie - powiedziała Shelley, odsuwając się na bok. - Wejdźcie do środka. Zaraz zaczynamy zebranie.

Rafe spojrzał na nią tak wyzywająco, że Shelley aż zaschło w ustach. Ten weekend nie będzie łatwy. I niestety dopiero się rozpoczynał.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Czasem ten cholerny seks niepotrzebnie wszystko komplikował.

Rafe bawił się, przewracając srebrnym widelcem na talerzu okruchy gorzkiej czekolady pozostałe po wybornym deserze. Jego myśli krążyły wokół kobiety siedzącej przy drugim końcu długiego stołu.

Shelley Sinclair. Znał ją od dziecka. I teraz znów zaczynała komplikować mu życie. Wszystko byłoby znacznie prostsze, gdyby nie jej długie, jedwabiste włosy opadające w zmysłowych lokach na lewą pierś. I oczy wielkie jak u sarny, w których czaił się bezmierny smutek. Jej aksamitne, pełne usta były jakby stworzone do namiętych pocałunków, które przywodziły na myśl zapach gardenii.

Dlaczego gardenii? Rafe nie umiał tego wytłumaczyć.

To wszystko było nie do zniesienia. Patrząc, jak Shelley powoli wkłada do ust kolejną porcję bitej śmietany, poczuł, że ogarnia go fala pożądania. Do diabła! Był za stary na takie wygłupy. Nie powinien w ten sposób myśleć o żadnej kobiecie ze swego biura, a już na pewno nie o Shelley Sinclair.

Nie zawsze mu się podobała. Dawno temu, gdy bawiła się z jego młodszą siostrą Jodie i obie szpiegowały go na każdym kroku, wcale nie uważał jej za ładną. Prawdę mówiąc, w ogóle go nie interesowała, traktował ją jak nieznośną smarkulę.

Ale to było kiedyś.

Jako dziecko drażniła go, a teraz działała na jego zmysły. A to nie mogło pomóc w pracy. Nie starał się o udział w konkursie, ale skoro już tu był, to chciał zwyciężyć. Jego firma Allman Industries musi wygrać i on powinien

tego dopilnować. To, że ma zamienić się stanowiskami z Shelley, krzyżowało jego plany. Trzeba będzie znaleźć wyjście z opresji.

Całe zebranie nie przebiegało po jego myśli. Rafe oczekiwał, że po krótkim wstępie Shelley pozwoli mu przejąć pałeczkę. W końcu to on kierował firmą, dlatego chyba wszyscy spodziewali się takiego przebiegu wydarzeń.

Ale nie Shelley. Ona najwyraźniej miała inny plan. Z uporem nie dawała nikomu dojść do słowa. Przedstawiła swój projekt, wyznaczyła warsztaty na następny ranek i rozdała formularze z instrukcjami. Rafe ledwo zdołał wtrącić jedno słowo.

Właśnie wtedy, gdy jego cierpliwość już się wyczerpała i zamierzał siłą dojść do głosu, spojrzała na niego triumfalnie i oznajmiła, że pora na kolację. Całe towarzystwo przeniosło się do restauracji, gdzie czekały już na nich dwa pozostałe zespoły pracowników Allman Industries. Czy trudno zgadnąć, kto kierował dwudziestojednosobową grupą?

Jednak Rafe'owi to nie przeszkadzało. Ten konkurs był niezwykle ważny. Nie chodziło o samą satysfakcję ze zwycięstwa. Stawką był wielki kontrakt. Nie po raz pierwszy

Rafe będzie walczył zażarcie z konkurencją. Obiecał ojcu, że wygrają, i musi dotrzymać słowa. Jeśli chce udowodnić wszystkim, że będzie jego godnym następcą, powinien wykazać się równą bezwzględnością jak senior rodu.

Wszyscy zaczęli podnosić się od stołu, żeby się rozejść do swoich pokoi i trochę przespać przed porannymi warsztatami. Rafe także wstał i kiwnął głową do Jima, unikając słodkiego spojrzenia kruczowłosej Tyny, przystojnej dyrektorki działu zasobów ludzkich, która od dawna nie dawała mu spokoju. Potem skierował się wprost do Shelley.

Kiedy chwycił ją za ramię, spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Musimy porozmawiać - szepnął cicho do jej ucha.

- Gadanie nic nie kosztuje - zażartowała, wydymając usta. Potem szybko zebrała swoje rzeczy, szykując się do wyjścia. - Wyślij mi e-maila.

Rafe zacisnął rękę na jej ramieniu. Nie miał zamiaru pozwolić jej uciec, choć dotyk jej ciała przejmował go dreszczem.

- Chcesz wszystko na piśmie, żeby w razie czego mieć dowody przeciwko mnie? - spytał. - Rozszyfrowałem cię, Shelley. I nie dam się podejść.

- Taki jesteś mądry, co? A kiedy rozum cię zawodzi, to stosujesz przemoc wobec kobiet? - dodała, spoglądając znacząco na jego dłoń.

- Są różne metody zastraszania - rzucił sucho. - Niektóre jak widać bardzo sobie upodobałaś.

- Zarzucasz mi, że używam kobiecych sztuczek, żeby cię zastraszyć? - spytała z rozbawieniem.

Rafe już otworzył usta, żeby powiedzieć jej parę słów do słuchu, ale na szczęście opamiętał się w ostatniej chwili.

- Chcę tylko porozmawiać z tobą, Shelley. Nie rób z tego wielkiej sprawy.

- W porządku - odparła, krzywiąc się niechętnie. - Możesz przyjść do mojego pokoju. Daję ci piętnaście minut.

Rafe wziął głęboki oddech, nie spuszczając z niej wzroku. W tym właśnie tkwił problem. Bardzo pragnąłby spędzić wieczór w jej pokoju. Przyćmione światło, romantyczna muzyka i jego usta na jej wargach...

Wykluczone. Może w barze?

Głośna, pulsująca muzyka, beztroska atmosfera i na pewno jakieś drinki. Jej usta będą go jeszcze bardziej kusily.

Nie, to zbyt niebezpieczne.

- Chodźmy na spacer nad rzekę - powiedział szybko. Deptak pełen turystów będzie najbardziej odpowiednim miejscem na rozmowę. - Przyda nam się łyk świeżego powietrza.

Shelley zmarszczyła lekko brwi.

- Dobrze. - Skinęła głową.

Wieczór był niezwykle ciepły. Tłumy rozbawionych turystów przechadzały się po deptaku. Światła klubów i butików migotały na wodzie, a śmiech towarzyszył dźwiękom muzyki. Wokół wyczuwało się świąteczny nastrój.

Ale Rafe był rozdrażniony. Wcisnął ręce głęboko do kieszeni, żeby nie ulec pokusie i nie wziąć swej towarzyszki pod ramię. Była trochę niższa od niego i idealnie pasowali do siebie wzrostem. Jak wspaniale byłoby objąć ją w wąskiej talii i przytulić!

Zły na siebie, zaklął pod nosem.

- Mówiłeś coś? - spytała ze zdziwieniem, unosząc wielkie brązowe oczy w kształcie migdałów. Jej ciemne rzęsy rzucały długie cienie na policzki.

Rafe przełknął ślinę, spoglądając błagalnie ku niebu.

- Przepraszam - rzucił krótko. - Właśnie sobie o czymś pomyślałem.

- To chyba u ciebie rzadkość - stwierdziła z przekąsem. - Zawsze przeklinasz, kiedy myślisz?

Spojrzał na nią, z całej siły powstrzymując się, żeby jej nie objąć. Potem potrząsnąłby nią albo pocałował.

- Wiesz co? - powiedział. - Jesteś tak samo nieznośna jak wtedy, gdy byłaś dzieckiem.

- Co w tym dziwnego? - odparła. - Przecież i ty się nie zmieniłeś.

Tłum spacerowiczów zgęstniał i ktoś popchnął Shelley, aż wpadła w ramiona Rafe'a.

- Przepraszam - bąknął przechodzień.

Rafe spojrzał na swą towarzyszkę. Serce zadrżało mu na myśl, jak bardzo jest delikatna i kobieca.

Nagle czas się zatrzymał. Rafe poczuł, że spowija go mgła i widział przed sobą tylko wielkie oczy Shelley.

Kiedy po chwili wszystko wróciło do normy, pospiesznie odsunęli się od siebie i skierowali szybkim krokiem w stronę rzeki. Potem, oparłszy się o barierkę, obserwowali z mostu jej ciemną toń.

Rafe nie miał już żadnych wątpliwości. Shelley działała na niego jak magnes. Każde jej słowo, każdy ruch przyciągały jego uwagę. Skoro nie umiał nad sobą zapanować, powinien przynajmniej nauczyć się to ukrywać. Musi zebrać siły, bo inaczej wkrótce zacznie trząść się przy niej jak galareta.

Shelley była niespokojna. Nie miała pojęcia, co się dzieje z Rafe'em. Zachowywał się tak dziwnie. Pewnie jej nienawidził.

Właściwie dlaczego nie? A czy ona kiedyś go lubiła?

Oczywiście raz na sylwestrowym przyjęciu oboje wypili za dużo. Rafe kręcił się przy niej, sypiąc docinkami, a ona odpłacała mu pięknym za nadobne. Ale kiedy wybiła północ, nagle ją pocałował. Potem oboje byli zszokowani i nie mogli spojrzeć sobie w oczy. Gdyby to był ktoś inny, a nie Rafe, od tego pocałunku mógłby się zacząć wielki romans. A tak od tej pory nie zamienili z sobą ani słowa - aż do tego weekendu. Normalne, czyli poprawne stosunki między nimi były po prostu niemożliwe.

Z westchnieniem spojrzała na światełka połyskujące na wodzie. Lekki wietrzyk powiewał jej długą koronkową spódnicą.

- Uwielbiam San Antonio - szepnęła cicho, otulając ramiona szalem.

Rafe spojrzał na nią, a potem szybko odwrócił głowę.



- To śmieszne, ale gdy byłem mały, wydawało mi się że to wielkie miasto  
- powiedział. - Teraz wygląda mi raczej na miścinę.

- Właśnie dlatego bardzo mi się podoba. Tak łatwo poczuć się tu jak w domu.

- Nie powiedziałem, że mi się nie podoba. Lubię małe miasteczka. Prawdę mówiąc, nienawidzę wielkich metropolii.

Shelley przygryzła wargi. Skoro Rafe ma zamiar kontrować wszystko, co ona powie, to chyba w ogóle nie powinna się odzywać.

Kiedy cisza się przedłużała, Shelley zerknęła jednak na swego towarzysza. Wpatrywał się w drugi brzeg rzeki, co pozwoliło jej przez chwilę mu się przyjrzeć. Miał wyraziste, ostre rysy twarzy emanujące męskim urokiem. Prawdziwy Teksańczyk. Wciąż pamiętała, jak świetnie jeździł konno.

Ale to było kiedyś. I wcale go nie lubiła. Nie powinna nigdy o tym zapominać.

- Mama przywiozła mnie tu kiedyś na Boże Narodzenie, żebym mógł popatrzeć, jak pięknie jest oświetlona rzeka - powiedział nagle.

Nie do wiary. Rafe nawet potrafi mówić jak normalny człowiek.

- Przyjechaliście tu sami? - spytała ze zdziwieniem.

Rodzina Allmanów była bardzo liczna.

- Tak. Miałem wtedy trzynaście lat. Mamie zależało na tym, żeby zrobić mi przyjemność. Prawdopodobnie chciała wynagrodzić mi to, że ojciec zawsze koncentrował uwagę na Matcie, a mną się specjalnie nie przejmował.

Rafe zmarszczył brwi. Dlaczego, do diabła, jej o tym mówi? Była ostatnią osobą, której powinien się zwierzać.

Może dlatego, że znali się od dziecka. Właściwie wychowywali się razem. Szkoda, że nie mógł traktować jej jak siostry. Cóż, jej widok wcale nie wzbudzał w nim braterskich uczuć. W ogóle nie powinien na nią patrzeć.

- Byłeś jej ulubieńcem - powiedziała cicho.

- Ja? - zdziwił się.

Pamiętał ciepły uśmiech matki i spokój, z jakim podchodziła do życia.

Matka była jego ideałem. Wciąż odczuwał ból na myśl o jej śmierci.

- Nie. Mama nikogo nie wyróżniała. Ona była dla wszystkich dobra.

- Cudowna kobieta! - westchnęła Shelley. - Jaka szkoda, że tak wcześnie zmarła! - Serce ścisnęło jej się na wspomnienie chwil, gdy ukochana matka Jodie umierała wskutek powikłań po operacji serca. - Ale jestem przekonana, że byłeś jej ukochanym synem.

- Naprawdę zwracałaś uwagę na takie rzeczy jako dziecko? - spytał, odwracając ku niej głowę.

- Oczywiście - odparła, z trudem kryjąc uśmiech.

Rafe znów wpatrzył się w rzekę, a Shelley ogarnęła fala wspomnień.

Może dlatego tak często przychodziła do domu Allmanów, że sama nie miała prawdziwej rodziny. Matka, która wychowywała ją samotnie, była wiecznie zajęta. Poza nią Shelley nie miała nikogo innego. Millie nie chciała zdradzić, kto jest ojcem jej dziecka, więc Shelley sama go sobie wymyśliła. Wysoki, przystojny, dobry i kochający - był ideałem, bo co szkodzi trochę pofantazjować.

Marzenia nie mogły ukoić jej tęsknoty. Codziennie modliła się o to, żeby mieć brata albo siostrę, aż wreszcie zrozumiała, że to nierealne. Wtedy przylgnęła do rodziny Allmanów.

- Jakoś dałeś sobie radę po śmierci matki - powiedziała - choć ojciec nie był dla ciebie zbyt serdeczny.

- Tata jest w porządku - odparł, wruszając ramionami.

Shelley poczuła nagle złość. Dobrze pamiętała, że było inaczej.

- Już nie może cię uderzyć, prawda? - spytała cicho. - Jesteś teraz silniejszy niż on.

Rafe skrzywił się, jakby powiedziała jakieś głupstwo.

- Co? Daj spokój! Wcale mnie tak bardzo nie bił.

Oparł się plecami o poręcz, krzyżując ręce na piersiach.

Nikt tego nie zrozumie. Ojciec był dla niego bardzo surowy. Jednak właśnie dlatego, kiedy udawało mu się zaskoczyć tatę i odnieść sukces, przeżywał ogromną satysfakcję.

- On wychowywał się w innych czasach. Możesz mówić o nim, co chcesz, ale kiedyś postępowało się surowiej z dziećmi.

Shelley potrząsnęła głową. Jak Rafe mógł bronić tego człowieka? Jesse Allman był słynną postacią w rodzinnym miasteczku Chivaree w Teksasie. Pochodził z biednej rodziny farmerów, ale wydzwignął się z ubóstwa i odniósł oszałamiający sukces. Był swego rodzaju geniuszem, który własną pracą osiągnął bogactwo. Jednak na pewno nikt nie nazwałby go dobrym ojcem.

- Nigdy nie uderzyłbyś własnego dziecka, prawda?

Rafe spojrzał z rezygnacją.

- To były tylko klapsy, Shelley. Ale nie, nie pochwalam takich metod. A ty?

- Nie zamierzam mieć dzieci - odparła, wzruszając ramionami.

Rafe zerknął na nią ze zdziwieniem.

- Chcesz zrobić wielką karierę, tak? - spytał, kręcąc głową.

Dreszcz przeszedł jej po plecach. Czy Rafe naprawdę uważał ją za karierowiczkę? Ale w końcu nie przynosiło jej to żadnej ujmę.

- Coś w tym rodzaju - przyznała niechętnie.

Spojrzał na połyskującą ciemną wodę.

- Nieźle ci idzie - powiedział. - Clay z działu prawnego ma o tobie bardzo dobre zdanie.

Shelley nie przepadała za Clayem Branchem, swoim bezpośrednim przełożonym.

- Jeśli dobrze wypadnę w tym konkursie, może Clay zgodzi się wreszcie, żebym poszła na szkolenie dla menedżerów.

- Chcesz być menedżerem?

- Chcę się rozwijać. Nie sądzisz, że to dla mnie odpowiednia droga?

- Możliwe. - Uśmiechnął się. - Pewnie dlatego tak się przejęłaś, że masz być moją szefową, co?

- To nie ja ustalałam zasady tego konkursu - odparła, patrząc wyzywająco. - Ale oczywiście jest mi to na rękę. Czy czujesz się zagrożony, szefie?

Rafe nie odpowiedział. Poruszył się niespokojnie i za chwilę poszli dalej.

Po drodze minęli mały klub, z którego dochodziły dźwięki gitary akustycznej. Tłumy na deptaku przeredziły się i nie było już tak dużo świateł.

- Mieszkałaś kiedyś w San Antonio, prawda?

Z obawą skinęła głową. To nie był w jej życiu okres, o którym miałaby ochotę opowiadać.

- Bardzo krótko - odparła, patrząc w bok.

- Pracowałaś wtedy u Jasona McLaughlina, prawda?

To pytanie było jak policzek wymierzony prosto w twarz. Shelley zamarła z przerażenia. Co Rafe o tym wiedział?

Od dawien dawna w ich miasteczku Chivaree rządy sprawowała rodzina McLaughlinów, a Allmanowie byli wyrzutkami. Wszystko zmieniło się w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Teraz to Allmanowie cieszyli się wielką sławą i poważaniem, a ich firma usunęła McLaughlinów w cień.

Wciąż jednak krążyły opowieści o tym, że McLaughlinowie to szacowny ród, a Allmanowie to wyrzutki. Obie rodziny nienawidziły się od niepamiętnych czasów.

W tej sytuacji niełatwo było Shelley, która zawsze była związana z Allmanami, podjąć decyzję o tym, żeby pracować u McLaughlinów. Taki krok mógł być uważany za zdradę. Teraz wydawało jej się, że to był akt szaleństwa. Nie miała ochoty się tym chwalić ani powracać do dawnych wspomnień.

- To było dawno temu - rzuciła oględnie.

- Niewiele ponad rok, prawda? - Rafe zatrzymał się, spoglądając na nią badawczo. - Teraz będziecie mieli okazję znów się spotkać.

Serce zabiło jej mocno. Nerwowym ruchem poprawiła na szyi złoty łańcuszek.

- O czym ty mówisz?

- Właśnie zauważyłem w harmonogramie, że firma McLaughlinów bierze udział w tym konkursie. Wiedziałaś, że Jason tu jest? - spytał, świdrując ją wzrokiem.

- Nie wiedziałam. - Nagle zrobiło jej się słabo. Nie była przygotowana na taką wiadomość. Firma Jasona rozwijała się, ale nigdy przedtem nie stawiała do konkursu. Dlaczego teraz podjęli taką decyzję?

- A może dlatego chciałaś dołączyć do zespołu, chociaż rok temu brałaś już udział w konkursie?

Zdumiona spojrzała mu prosto w twarz. Czy naprawdę sądził, że chciała skorzystać z okazji, żeby znów spotkać się z Jasonem McLaughlinem?

W takim razie wiedział - a przynajmniej się domyślał - że kiedyś była związana z tym mężczyzną. To było deprymujące.

Ale dlaczego miałyby nie wiedzieć o czymś, co było publiczną tajemnicą? Nie była dumna ani z pewnością nie chciałyby wrócić do tego romansu, jeśli Rafe to ma na myśli.

- Nie martw się - powiedziała z nagłą złością. - Nie będę marnować cennego czasu na romanse z naszymi konkurentami. Stoczymy potężną bitwę o trofeum, które jest dla ciebie takie cenne - dodała, odwracając się od niego.

- Shelley, nie zachowuj się tak, jakby chodziło tu wyłącznie o mnie - zawołał, chwytając ją za ramię i przyciągając do siebie. - Powinnaś to rozumieć. Oboje pochodzimy z biednych rodzin i wiemy, że w życiu trzeba walczyć o swoje.

Shelley odwróciła głowę, unikając jego wzroku.

- Żadne z nas nie jest podobne do McLaughlinów. Nie jesteśmy w czepku urodzeni. Musimy o wszystko walczyć. Dlatego powinnaś rozumieć, dlaczego musimy wygrać ten konkurs. Poza tym chyba przyjemnie będzie pokonać McLaughlinów.

- Pokonać McLaughlinów - powtórzyła cicho.

- Oczywiście. Musimy bardziej się starać, bo jesteśmy sami, a oni mają potężne kontakty.

To był cały Rafe. Zawsze uważał, że trzeba bardziej się starać. Zawsze chciał udowodnić ojcu, ile jest wart. I rzeczywiście we wszystkim odnosił sukcesy. Szkoda, że Jesse Allman nigdy tego nie zauważył.

Ale Shelley nie miała zamiaru rozczulać się nad Rafe'em. Przez cały czas nie spuszczał z niej wzroku. Chciał się upewnić, czy będzie lojalna wobec Allman Industries i nie przejdzie na stronę przeciwnika.

Nie dam mu tej pewności, pomyślała z satysfakcją.

- Sądziłam, że teraz, kiedy Jodie wychodzi za Kurta McLaughlina, zapanuje rozejm między waszymi rodzinami - powiedziała, spoglądając w kierunku rzeki.

- Rozejm zapanuje wtedy - odparł przez zaciśnięte zęby - gdy McLaughlinowie przestaną zachowywać się jak dranie. Oczywiście nie chodzi mi o Kurta. On zawsze był inny.

Shelley pokiwała głową. Ona także była tego zdania. Mimo sprzeciwów ze strony rodziny kilka miesięcy temu Kurt podjął pracę w Allman Industries. Kiedy Jodie po ukończeniu studiów także zaczęła pracować w rodzinnej firmie, między dwojgiem młodych szybko zakwitł romans.

Shelley kochała przyjaciółkę i życzyła jej wszystkiego najlepszego, ale z początku martwiła się, że Jodie chce związać się z synem McLaughlinów. Rozum podpowiadał jej, że nienawiść między tymi rodzinami ma bardzo głębokie podłoże.

W drodze powrotnej do hotelu przez cały czas rozmyślała o McLaughlinach. Kiedyś po prostu straciła głowę z miłości do Jasona. Chyba dlatego nie zdawała sobie sprawy co to za łobuz, dopóki nie zrobiło się za późno.

Nie. Chwileczkę. To nie było tak.

Jason wprawdzie był draniem, ale ona sama była ślepa i beznadziejnie naiwna. Najpierw nie wiedziała, że jest żonaty. Potem okazało się, że to małżeństwo ma bardzo burzliwy charakter - Jason i jego żona częściej żyli w separacji niż razem. Kiedyś znów pokłócił się z żoną i zaczął się spotykać z Shelley. Jednak tylko głupiec uwierzyłby w kłamstwa, że jego małżeństwo się rozpadło. Każdy, kto ma trochę oleju w głowie, zorientowałby się, o co chodzi, ale Shelley za wszelką cenę chciała być z Jasonem. Nie była głupia, lecz kompletnie otumaniona. Skóra jej cierpła na wspomnienie dnia, gdy żona

Jasona wróciła do domu i zastała ją w swoim apartamencie. Pogarda bijąca z oczu tej kobiety wciąż paliła żywym ogniem. Jednak Shelley dobrze wiedziała, że zasłużyła sobie na takie traktowanie.

- A więc będziesz z nami lojalnie pracować, prawda?

Rafe chciał się upewnić, że nic mu nie grozi. Niestety Shelley uważała, że nie zasłużył sobie na tę pewność.

- Czy wciąż jesteś opętany obsesją zwycięstwa, Rafe? - spytała, uśmiechając się z ironią. - Zawsze uważasz, że najważniejszą rzeczą w życiu jest wygrywać?

- A co w tym złego? To lepsze niż przegrana. Chyba że wolisz tych, którzy przegrywają? - rzucił z sardonycznym uśmiechem.

- Raczej nie. Wolę życzliwych ludzi.

Rafe otworzył usta, żeby co powiedzieć, ale w ostatniej chwili się rozmyślił.

- Życzliwych, tak? - powtórzył później. - To znaczy takich jak ja.

- Czyżby? - Shelley omal nie wybuchnęła śmiechem. Ale uniosła tylko brwi i zatoczyła ręką koło. - Może źle się wyraziłam. Wolę ludzi o szerszych horyzontach - powiedziała, siląc się specjalnie na złośliwość.

- O szerszych horyzontach, tak? - Iskierki rozbłysły w jego oczach. - Pozwól, że poprawię fular.

- Proszę bardzo - odparła, unosząc buńczucznie brodę. - I możesz mówić dalej.

- Dziękuję. Jestem zawstydzony i porażony twoją wspaniałomyślnością.

- W takim razie osiągnęłam swój cel - uśmiechnęła się przewrotnie.

- O nie, kochanie! - zaprotestował. - Ze mną nie pójdzie ci tak łatwo.

Shelley zamrugała ze zdziwienia.



- To zabrzmiało bardzo groźnie - powiedziała, zerkając na Rafe'a. - Może powinnam wyrazić się dokładniej. Wolę bardziej wyrafinowanych mężczyzn.

- Myślę, że po prostu wolisz Jasona McLaughlina - odparł, unosząc brwi. Shelley spiorunowała go wzrokiem. Ale ku jej zdziwieniu na twarzy Rafe'a nie zobaczyła drwiny, tylko raczej smutek.

- Przepraszam - wymamrotał. - To był cios poniżej pasa.

- Oczywiście - odparła z kwaśnym uśmiechem. - Jesteś mistrzem.

- Ciosów poniżej pasa?

- I innych drobnych uprzejmości.

- Uprzejmości - powtórzył, wykrzywiając się komicznie. - Naprawdę podoba mi się twój język, skarbie. Ale mnie nie oszukasz, bo znamy się jak łyse konie.

Drażnił się z nią, lecz nie tak złośliwie, jak wtedy, kiedy byli dziećmi. Jeszcze chwila i Shelley gotowa go nawet polubić.

- Może cię nie oszukam - powiedziała - ale na pewno przekonam. Jesteś mądrym facetem. Wiesz, że nie ma nic złego w tym, by dążyć do wyższych celów.

Z naprzeciwnika zbliżała się do nich hałaśliwa grupka młodzieży. Rafe położył rękę na jej karku i opiekuńczym ruchem przyciągnął do siebie, kiedy rozkrzyczane towarzystwo przechodziło obok nich.

- O ile nie zapomina się o swoim pochodzeniu - powiedział cicho.

Ciepło jego dłoni rozchodziło się po całym jej ciele. Shelley odskoczyła w bok i skierowała wzrok na Rafe'a.

- Spójrz na siebie! - zawołała z przejęciem. - Dziś po południu miałeś na sobie garnitur. Na szyi krawat i tak dalej. Czysta biała koszula i spodnie zaprasowane w ostry kant. Wyglądałeś wspaniale. Twój ojciec nigdy w życiu tak nie wyglądał.

Rafe zamyślił się, marszcząc brwi.

- A więc twoim zdaniem stawianie sobie nowych wyzwań polega na noszeniu krawata? - zauważył z zadumą. Potem spojrzał na nią z irytacją. - Posłuchaj, Shelley. Nikt na świecie nie walczył bardziej o pozycję w świecie niż mój ojciec.

- I moja matka - zripostowała. - Myślisz, że łatwo było jej prowadzić „Millies Café”? Musiała wszystko robić sama.

Jego twarz rozjaśnił blady uśmiech.

- No... mój tata pracował ciężiej od twojej matki.

- Nie - odparła, unosząc dumnie brodę.

- Tak - powiedział, a w jego oczach zabłyśły iskierki.

Shelley nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- No... może. Ale twój ojciec nie umie gotować tak jak moja matka.

- To prawda - przyznał Rafe.

Zatrzymali się przed hotelem, bo żadne z nich nie miało jeszcze ochoty wejść do środka. Przez chwilę w milczeniu spoglądali na siebie.

- Przysięgasz, że nie przyjechałaś na konferencję z powodu Jasona McLaughlina? - spytał.

Shelley zawahała się, a potem uniosła dłoń jak do przysięgi.

- Przysięgam. Gdybym wiedziała, że on tu będzie, to raczej bym się nie zdecydowała.

Rafe powoli pokiwał głową.

- Powiedz mi, z jakiego powodu naprawdę tu przyjechałaś?

Shelley nie miała odwagi spojrzeć mu w oczy. Rzeczywiście nic o tym do tej pory nie wspomniała. Zgodziła się przyjechać w ostatniej chwili, wiedząc, że będzie miała okazję dowiedzieć się czegoś, na czym bardzo jej zależało. Ale nie mogła powiedzieć tego Rafe'owi, bo zdradziłaby cudzy sekret.

Spojrzała na niego, biorąc głęboki oddech.

- To czysto prywatna sprawa - powiedziała stanowczym głosem - i nie wiąże się w żaden sposób z pracą. Zresztą uważam, że nie masz prawa mnie o to pytać - dodała szybko.

- Nie powiesz mi? - zdziwił się, wyraźnie niezadowolony z odpowiedzi.

Shelley wzruszyła ramionami, potrząsając głową.

- To ciebie nie dotyczy.

Mówiła prawdę. Dlaczego Rafe nie chce się z tym pogodzić?

- Zdajesz sobie sprawę, że to może budzić moje podejrzenia? - spytał, chmurząc czoło.

Odwróciła głowę tak szybko, że jej długie jedwabiste włosy opadły gwałtownie na ramiona. Rafe był nieznośny. Ale zawsze miał taki charakter. Zdążyła zapomnieć, że przed chwilą rozmawiali z sobą szczerze.

- Możesz podejrzewać mnie, o co chcesz, skarbie - odparła z charakterystycznym teksańskim akcentem. - Jednak jutro musisz się dobrze spisać. Bo to ja jestem teraz szefową. - Odwróciła się, spoglądając groźnie, i ruszyła w stronę windy.

## ***ROZDZIAŁ TRZECI***

Pierwszą osobą, którą zobaczyła rano w holu, był człowiek, z którym w ogóle nie chciała się spotkać - Jason McLaughlin.

- Shelley! Kopeć lat! - Wysoki niebieskooki mężczyzna w jedwabnym włoskim garniturze zbliżył się i z uśmiechem ujął jej dłonie. - Wyglądasz uroczo.

Przez chwilę nie miała pewności, czy potrafi wydusić z siebie jedno słowo. Czy Jason domyślał się, co dla niej znaczy to spotkanie? Czy zauważył jej napiętą twarz i spanikowane oczy?

Pewnie nie. W końcu nie było powodu sądzić, że kiedykolwiek się nią przejmował. Ogrzewała mu łóżko i sprzątała mieszkanie. Czy nie o to przede wszystkim mu chodziło?

Ona z kolei przez wiele lat obserwowała wszystko, co on robił. Prowadziła nawet pamiętnik, ukryty pod materacem, w którym nocą zapisywała sobie nowe spostrzeżenia na jego temat. „Dzisiaj po południu widziałam Jasona w sklepie spożywczym. Miał na sobie dziurawe dżinsy i wyglądał fantastycznie. Kiedy ruszył w moją stronę, omal nie dostałam ataku serca. Ale przeszedł obok i chyba w ogóle mnie nie zauważył”.

Kochała się w nim na zabój i kiedy po studiach przeniosła się do San Antonio i dostała pracę w jego firmie, była w siódmym niebie. Wtedy właśnie ją dostrzegł i zatrudnił jako swoją osobistą asystentkę, a wkrótce potem zaczęli się spotykać. To było jak piękny sen, po którym nastąpiło gwałtowne przebudzenie.

- Jason - powiedziała, odzyskując wreszcie głos. - Co za niespodzianka! Myślałam, że to dla ciebie zbyt snobistyczne miejsce.

- Nie bądź głupia - odparł, uśmiechając się promiennie. - Ta konferencja to największe wydarzenie roku w San Antonio. Musimy wygrać ten konkurs. - Zaśmiał się, błyskając białymi zębami.

Rekiny też mają białe zęby, pomyślała z niepokojem. Powinnam zachować szczególną ostrożność!

- Powodzenia - powiedziała głośno. - My też liczymy na wygraną. - Ale w głębi duszy czuła się jak pływak, który znalazł się w głębokiej wodzie otoczony przez piranie.

Jason wciąż trzymał jej dłoń i próbował przyciągnąć ją do siebie. Zajrzał jej w oczy, co kiedyś doprowadziłoby ją do szaleństwa, i rzucił kusząco:

- Chodźmy razem na śniadanie. Usiądziemy sobie w boksie. Trzeba wspominać dawne czasy.

Shelley już otworzyła usta, żeby powiedzieć mu coś do słuchu. Jednak nie zdążyła się odezwać, bo nagle ktoś położył jej rękę na ramieniu.

- Przykro mi, McLaughlin - rzucił chłodno przybysz - ale nie masz szczęścia. Jestem umówiony z Shelley.

- Rafe! - Jason gwałtownie zmienił się na twarzy, lecz za chwilę znów przybrał maskę dżentelmena. - Powiedziałbym kawał o złym szelągu, ale to byłoby niegrzeczne.

- Możesz się zachowywać, jak chcesz - odparł spokojnie Rafe. - Znamy się nie od dzisiaj. Nie musisz się przy nas krępować.

Na twarzy Jasona pojawił się sztuczny uśmiech.

- Miłego dnia! - rzucił z sarkazmem i odwrócił się.

- Dziękujemy - odparł Rafe, po czym razem z Shelley skierowali się do restauracji.

- Nie musiałeś się wtrącać. Dałabym sobie radę - powiedziała Shelley, kiedy usiedli przy stole przeznaczonym dla ekipy Allman Industries.

- Nie wątpię. Gdybyś tylko chciała - odparł, przyglądając się jej badawczo.

Oho! Rafe naprawdę jej nie ufał.

- Czy masz mi coś do zarzucenia? - spytała, pochylając się ku niemu.

Uśmiechnął się pod nosem, a potem zaczął studiować menu.

- Nie będę tolerować zdrajców w naszym zespole - powiedział zza karty.

- Ostrzegam cię lojalnie.

- Rafe! - powiedziała, zaciskając dłonie w pięści. - Działasz mi na nerwy.

- Ależ, Shelley! - odparł, udając zdziwienie. - Doprawdy nie ma powodu się złościć.

Odłożył menu i ujął jej dłoń.

- Bardzo dobrze, że działamy na siebie tak stymulująco. To zwiększy nasz potencjał twórczy. Dzięki napiętej atmosferze będziemy działać tak dynamicznie, że pokonamy wszystkich rywali w konkursie.

- Albo pozabijamy się nawzajem - odparła z przekąsem, mrużąc oczy.

- Oczywiście zawsze jest taka możliwość - pokiwał głową.

W jego oczach tlił się uśmiech. Shelley także uśmiechnęła się przelotnie. Potem cofnęła rękę i sięgnęła po menu.

- Zostaw to - powiedział. - Wiem, co dla ciebie zamówimy.

- Co takiego?

- Mininaleśniki z czarnymi jagodami polane syropem wiśniowym i kiełbaski.

Shelley spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Pamiętam, że zabierałaś to do domu, kiedy Rita w sobotę rano szykowała dla nas wszystkich wielkie śniadanie - odparł zmieszany.

Rita była jego siostrą, najstarszą córką Allmanów.

- Czasem wydawało mi się, że chce nakarmić wszystkich sąsiadów - szepnęła Shelley.

Rafe pokiwał głową.

- Ale zawsze lubiłaś te małe okrągłe naleśniki z gęstym wiśniowym syropem.

To zabawne, że Rafe pamiętał takie rzeczy.

- Wtedy jeszcze nie musiałam dbać o linię - odparła z nostalgicznym uśmiechem.

- Sam zadbam o twoją linię. Na razie nie widzę problemu. Kiedy coś będzie nie tak, zaraz ci powiem.

- Rozczarowujesz mnie - westchnęła. - To kiepski żart.

- A kto żartuje? - spytał cicho, przesywając ją wzrokiem.

Do stolika zbliżyła się kelnerka i naląła im do kubków parującą kawę. Potem Rafe złożył zamówienie. Shelley była tak pochłonięta rozmyślaniami nad tym, co powiedział, że nie zdążyła zaprotestować przeciwko naleśnikom. Potem było już za późno i wołała nie zmieniać zamówienia.

Obserwowała go nieufnie, szukając mniej osobistego tematu do rozmowy.

- Jesteś gotów do pracy? - spytała.

Odchrząknął i wypił łyk gorącej kawy. Potem skrzywił się, gdyż sparzył sobie język.

- Warsztaty będą trwać do południa - powiedziała szybko, żeby zagłuszyć krępującą ciszę. - Zjemy lunch w „Tapa Grill”, a potem nasz zespół spotka się w moim pokoju i zdecydujemy, co robić dalej. Mam bardzo ciekawe pomysły.

- Naprawdę?

- Tak.

- Ja też mam parę pomysłów - odparł, wzruszając ramionami. - I to niezłych. Stoczmy bitwę. Zobaczymy, czyje są lepsze.

Shelley się skrzywiła. Rafe mówił tak, jakby przyjechali na rajd gigantycznych ciężarówek.

- Moje też są całkiem dobre.

Rafe pokiwał głową, lustrując ją wzrokiem.

- Całkiem dobre - powtórzył szyderczo. - W tym cały problem, Shelley. Jeśli są „całkiem dobre”, to nie wygramy konkursu. Muszą być absolutnie sensacyjne, wtedy... kto wie. - Potrząsnął głową, wbijając widelec w powietrze. - To właśnie mnie martwi. Nie masz instynktu zabójcy.

- I całe szczęście - odparła, marszcząc nos.

- Nie rozumiesz? Trzeba mieć instynkt zabójcy, żeby wygrać ten konkurs.

- Och, przestań zachowywać się tak melodramatycznie. Damy sobie świetnie radę.

Przyglądał się jej przez chwilę, a potem jęknął, odrzucając do tyłu głowę.

- Shelley, Shelley, Shelley. Musisz być twarda, dziewczyno. Wzdrygasz się na widok krwi. Oczywiście to metafora. Ale nie potrafisz skoczyć do gardła. Nie jesteś gotowa i nie chcesz stoczyć walki ze wszystkimi przeciwnikami, którzy staną ci na drodze. A ja tak - dodał z błyskiem w oku. - Potem szalenie zadowolony z siebie rozparł się na krześle. - Lepiej zostaw to mnie - skwitował.

Musiała ugryźć się w język, a później jeszcze policzyć do dziesięciu. Naprawdę nie chciała na niego wrzeszczeć. To byłoby żenujące, zwłaszcza że Jason McLaughlin siedział niedaleko i obserwował ich każdy ruch.

- Możesz poinstruować zespół B - powiedziała w końcu. - Zajmujesz najwyższe stanowisko w Allman Industries. Masz prawo kierować nami, tak



jak chcesz. Ale jeśli chodzi o nasz zespół, przez najbliższe cztery dni to ja jestem szefową. I będziesz robić to, co powiem, Rafie Allman.

- Czy to jakaś zemsta? - Spojrzał na nią spod półprzymkniętych powiek.

- Zemsta? - Shelley przewróciła oczami. - Ależ ty mnie wkurzasz!

Uważasz, że zawsze chodzi o ciebie, prawda?

- A nie?

Shelley przyglądała mu się przez dłuższą chwilę. On naprawdę tak myślał.

- Tak, masz rację. To zemsta - powiedziała dobitnie, znów pochylając się ku niemu. - Zemsta za to, że wsypałeś zieloną farbę do szamponu i po kąpieli w basenie ja i Jodie miałyśmy zielone włosy, twarze i ręce.

Rafe zmarszczył brwi, przypominając sobie ten stary incydent.

- Muszę przyznać, że dokładnie wtedy tego nie przemyślałem. Ale obie wyglądałyście bardzo śmiesznie - dodał z łobuzerskim uśmiechem.

Shelley nie miała zamiaru dłużej tłumić złości. Teraz wreszcie mu wygarnie.

- To zemsta za to, że kiedyś piłam u was mleko i wydawało mi się, że połykam jakąś kulkę. Powiedziałeś wtedy, że włożyłeś mi do szklanki żabę. Myślałam, że zwariuję, bo czułam, że ta żaba porusza mi się w brzuchu.

- Biedna mała żabka - powiedział, patrząc z zainteresowaniem na brzuch Shelley. - Pewnie wciąż tam jest.

- Tam nie było żadnej żaby! - parsknęła ze złością.

- Ale nigdy nie będziesz miała pewności, prawda?

Ile lat więzienia dostaje się teraz za morderstwo w Teksasie? Ława przysięgłych z pewnością weźmie pod uwagę fakt, że to była zbrodnia w afekcie. Atak wściekłości powinien stanowić okoliczność łagodzącą!

Stopniowo przypominała sobie kolejne wybryki Rafe'a. Nie sposób było wszystkich zliczyć.

- Kiedy uczyłam się jeździć samochodem i wpadłam na jakiś wybój, ty powiedziałaś, że to był pies Jodie. Szukałam go wszędzie przez kilka godzin i płakałam, że leży gdzieś w krzakach ranny, zakrwawiony...

Rafe się skrzywił.

- To rzeczywiście było trochę podłe.

- Trochę?! - Shelley potrząsnęła głową. - Nienawidziłam cię!

- Za co? Byłem po prostu łobuziakiem tak samo jak ty. - Spojrzał na nią ze zdziwieniem. - Pamiętasz, jak zamiast kanapki z tuńczykiem podłożyłaś mi do śniadaniówki bułkę z pasztetem dla kotów?

- Wcale nie - oburzyła się. - A zresztą to był pomysł Jodie.

Rafe się uśmiechnął. Shelley także się rozchmurzyła. Ale nie mogli dłużej porozmawiać, bo do ich stolika zbliżali się już Jaye i Jim wraz z kilkoma osobami. Shelley wyprostowała się, uśmiechając się uprzejmie. Dłuższa sprzeczka z Rafe'em Allmanem mogłaby ją zdenerwować albo nawet doprowadzić do choroby. Nie zamierzała na to pozwolić, zwłaszcza że czekał ich ciężki dzień i należało wziąć się do roboty.

Godzinę później Shelley wymknęła się tylnymi schodami na parking. Miała nadzieję, że nikt nie zauważy jej nieobecności na warsztatach. Zdecydowała się darować sobie wykład na temat zarządzania czasem i forum poświęcone burzy mózgów, co dawało jej dokładnie dwie godziny do lunchu. Jeśli wszystko się uda, do tej pory zdobędzie odpowiedzi na swoją zagadkę.

Wsiadła do samochodu i wkrótce mknęła znajomymi ulicami San Antonio w kierunku „Chuy's Café”. Miała nadzieję, że tajna misja na zlecenie Matta, starszego brata Rafe'a, powiedzie się.

Zawsze traktowała Matta jak starszego brata. Był człowiekiem, na którym można było polegać, i nie sposób było go nie lubić. Kiedy Shelley studiowała w Dallas, Matt był na medycynie. Bardzo zaprzyjaźniła się z jego ówczesną dziewczyną Penny Hagar. Przez pewien czas wynajmowały nawet wspólnie mieszkanie, dzięki czemu znajomość z Mattem jeszcze bardziej się zacieśniła. Dlatego gdy kilka dni temu Matt powiedział, że musi odnaleźć Penny, Shelley natychmiast zaproponowała mu pomoc.

Teraz zmierzała do kawiarni, która była miejscem spotkań grupki młodych ludzi, z którymi przyjaźniła się, mieszkając w San Antonio. Miała nadzieję, że ktoś z nich będzie pamiętać Penny, która prawdopodobnie wróciła do San Antonio po wyjeździe z Dallas.

Brat Penny, Quinn, na pewno mieszka gdzieś w pobliżu. Znajomi Shelley przyjaźnili się z nim i czasem nawet rozmawiali o Penny. Jeśli uda jej się odnaleźć Quinna, z pewnością łatwo będzie wtedy spotkać Penny.

Godzinę później wjeżdżała już z powrotem na hotelowy parking. W „Chuy's Café” spotkała dwójkę starych znajomych, którzy jedli spóźnione śniadanie. Ich pomoc okazała się bardzo cenna. Choć nie mogli udzielić żadnych konkretnych informacji, dali Shelley nazwiska i telefony osób, które powinny mieć kontakt z Quinnem.

Wróciła dostatecznie szybko, aby móc jeszcze zajrzeć na chwilę do swego pokoju, żeby się odświeżyć przed lunchem. Znow ruszyła tylnymi schodami, by przypadkiem nie spotkać kogoś ze znajomych. Wyjęła kartę elektroniczną i przesunęła ją przez otwór w drzwiach. Odetchnęła z ulgą, że wszystko poszło gładko i nikt jej nie zauważył. Zapaliła światło w korytarzyku i weszła do wółprzyciemnionego pokoju.

- Witaj, Shelley!

Rafe! Odwróciła się gwałtownie. Siedział w wielkim fotelu pod oknem.

- Jak się tu dostałeś? - spytała, przyciskając dłoń do serca tłukącego się w piersi.

Wzruszył ramionami, nie ruszając się z fotela.

- Cóż mam powiedzieć? Pokojówki mnie uwielbiają.

- Och!

Podeszła szybko do okna i jednym ruchem odsłoniła zasłony. Kiedy w pokoju zrobiło się jasno, odwróciła się twarzą do Rafe'a.

- Gdzie byłaś? - spytał.

- W mieście.

- Zauważyłem - odparł, zaciskając usta. - A konkretnie?

Shelley odwróciła głowę.

- Przemyślałem wszystko - powiedział. - Wczoraj wieczorem pozwoliłem ci się wymanewrować, ale to się nie powtórzy.

Podniósł się z fotela i stanął z nią twarzą w twarz.

- Wydaje mi się, że mimo wszystko jestem twoim szefem - oświadczył chłodno. - Dlatego mam prawo żądać od ciebie odpowiedzi. I nie chcę słyszeć, że to nie moja sprawa. Zniknęłaś gdzieś w czasie, który powinnaś poświęcić pracy na rzecz firmy. - Zmarszczył brwi, mierząc ją groźnie wzrokiem. -

Dlatego pytam cię ponownie: gdzie byłaś?

Shelley spojrzała w jego ciemne oczy.

- Jeździłam samochodem - odparła niechętnie.

- Jeździłaś gdzie?

- Po całym San Antonio - odparła, wzruszając ramionami.

- Po prostu zwiedzałaś? - spytał, unosząc brew.

Shelley nie potrafiła kłamać, więc tylko odwróciła głowę w bok.

- Czego szukałaś, Shelley?

Zamknęła oczy, przygryzając wargi. Ach, gdyby mogła mu powiedzieć!  
Ale na pewno nie zdradzi Matta.

Otworzyła oczy, spoglądając błagalnie na Rafe'a.

- Proszę, nie pytaj mnie. Naprawdę nie mogę ci tego powiedzieć.

Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, a potem wpatrzył się w panoramiczne okno z widokiem na błękitne niebo.

- Wspominałaś przeszłość? - spytał w zamyśleniu. - Swoje dawne życie?

Zrozumiała, że chce jej ułatwić odpowiedź. Serce zabiło jej mocniej ze wzruszenia. Nie spodziewała się, że będzie taki wyrozumiały. Niestety nie mogła odpowiedzieć mu twierdząco.

- Nie - odparła cicho, potrząsając głową. - Nie mam zamiaru kłamać.

- Tak się złożyło - powiedział, odwracając się powoli w jej stronę - że Jason McLaughlin także nie był na warsztatach.

- Och, na miłość boską, chyba nie sądzisz, że spotkałam się z Jasonem!

- Nawet nie chcę o tym myśleć.

Uniosła ramiona, a on chwycił ją za dłoń.

- Nie - powiedział. - Myślę, że jesteś na to zbyt mądra. Ale musisz przyznać, że to wygląda podejrzanie.

To prawda. Nie mogła zaprzeczyć. Nagle jej oczy zaszkliły się od łez. Wszystko było takie strasznie trudne. Co ma zrobić, żeby nikogo nie skrzywdzić? Albo sobie samej nie zrobić krzywdy? Mimo to uśmiech zadrgał na jej wargach. Twarz Rafe'a złagodniała i lekko przyciągnął Shelley do siebie.

- O Boże, Shelley - szepnął ochrypłym głosem. - Dlaczego jesteś taka piękna?

- Chyba dlatego, żeby ciebie drażnić - odparła drżącym głosem, uśmiechając się przekornie. - Nie widzę żadnego innego powodu.

Rafe się chwilę zawahał, spojrzał jej w oczy, a potem ją pocałował.

Kiedy znalazła się w jego ramionach, fala dreszczy ogarnęła jej ciało. Całowała się już nie raz z bardzo przystojnymi mężczyznami, ale żaden z nich nie mógł się równać z Rafe'em. Teraz było jeszcze cudowniej niż wtedy, gdy całowali się na przyjęciu sylwestrowym. Jego usta były tak gorące, że ona także zapłonęła żarem. Niemal widziała ich nagie ciała splecione z sobą na atłasowych prześcieradłach. Ten mężczyzna naprawdę miał w sobie magię. A kiedy odsunął się, potrząsając głową i przeklinając pod nosem, jakby nie potrafił uwierzyć w to, co zrobił, Shelley ledwie mogła się powstrzymać, by nie błagać go o więcej.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

Nie powinien był jej pocałować.

Rafe wpatrywał się w harmonogram prezentacji przygotowany przez Candy Yang, ale bez przerwy myślał o ustach Shelley. Siedział na ważnym zebraniu całego zespołu w jej pokoju hotelowym, a marzył tylko o tym, żeby znów ją pocałować.

Na niej z pewnością nie zrobiło to wielkiego wrażenia. Po pocałunku zachowywała się tak, jakby nic się nie stało, podczas gdy on starał się odzyskać męską godność.

Co go napadło, że tak głupio się zachował? Przecież to nie było w jego stylu. Wiedział, co jest ważne i na czym powinien się skoncentrować. Do diabła, na pewno nie na rozmyślaniach o Shelley!

Teraz zbliżała się jego kolej, żeby przedstawić swój pomysł prezentacji na konkursie. Był szalenie interesujący i z pewnością zwyciężą, jeśli tylko uda im się dobrze wszystko rozegrać. Wymyślona przez niego strategia charakteryzowała się wielką dynamiką.

Shelley przedstawiła już swoją prezentację i Rafe nawet jej trochę współczuł. Proponowała zorganizowanie żłobka czy przedszkola dla dzieci. Jak ona to wyjaśniła?

„Dział zasobów ludzkich wprowadzi system podziału pracy między pracownikami posiadającymi małe dzieci, by zapobiec utracie najlepszych fachowców”.

Rafe nawet nie słuchał jej wykładu. Po pierwsze ten temat wcale go nie pasjonował, a po drugie wołał wpatrywać się w jej poruszające się usta, niż

słuchać samych słów. Był zafascynowany jej ustami i wszystko w nim wrzało na myśl, że mógłby jeszcze raz ich dotknąć.

Co do prezentacji, to żałował, że nie poprosił Shelley, by w ogóle dała sobie spokój. To zwykła strata czasu i wszyscy niepotrzebnie zadają jej pytania. Jego pomysł jest tak wspaniały, że za chwilę nikt nie będzie pamiętać, o czym właściwie mówiła.

Rafe spojrzął na zegarek. Kto wie, może uda się szybko skończyć, a potem pozbyć się wszystkich z pokoju i spędzić wspólnie z Shelley trochę czasu przed popołudniową sesją? Odruchowo zerknął na standardowe hotelowe łóżko. Już widział dwa ciała na świeżych białych prześcieradłach i na myśl o tym lekko się uśmiechnął.

Nagle napotkał spojrzenie Shelley. Zaklął pod nosem, czując, że się zaczerwienił. To było śmieszne! Zachowywał się przy niej jak nieopierzony nastolatek. Tylko że kiedy był nastolatkiem, nie przyszłoby mu do głowy, żeby interesować się Shelley Sinclair.

Może to był najlepszy sposób na tę udrekę. Jeśli przypomni sobie, jak kiedyś jej nie znosił, to uda mu się wybić ją sobie z głowy raz na zawsze.

Pomyślał o wakacjach przed jej wyjazdem na studia. Ten obraz najpierw był przyjemny. Shelley na pikniku z okazji Święta Niepodległości. Włożyła najładniejszą letnią sukienkę, uczesała starannie włosy, ale potem ktoś zepchnął ją z pomostu do jeziora i kiedy wynurzyła się, parskając, z wody, wyglądała jak zmokła kura.

Na to wspomnienie jego usta wykrzywiły się w uśmiechu. Tak, wszyscy wtedy pokładali się ze śmiechu. Rafe też się śmiał. Tylko że kiedy mokra sukienka przylgnęła do jej ciała, przestało mu być do śmiechu. Wtedy po raz pierwszy zauważył, że Shelley ma obfity biust, wąską talię i okrągłe biodra. Stała się bardzo zgrabną kobietą, podczas gdy on wciąż uważał ją za smarkulę.



- Rafe?
- Co? - spytał przestraszony, jak uczeń wyrwany nagle do odpowiedzi.
- Masz jakieś uwagi odnośnie konkursu?
- O, tak. Oczywiście.

Z rękami w kieszeniach wstał, ogarniając wzrokiem zespół. Znał ich wszystkich dobrze i był pewien, że pomysł im się spodoba.

- Liczę na waszą dyskrecję - powiedział, starannie modulując głos. - Otrzymałem dzisiaj informację, która będzie oficjalnie ogłoszona dopiero w poniedziałek. Ranczo Quarter Season zostanie wystawione na sprzedaż.

Z cichą satysfakcją patrzył, jakie wrażenie ta wiadomość zrobiła na zebranych. Ranczo Quarter Season należało do największych i najstarszych na tym obszarze i nikt nie sądził, że stary kowboj Jake Quartermain zechce je kiedykolwiek sprzedać. Ten facet miał już chyba ponad dziewięćdziesiąt lat. Najprawdopodobniej wnuki przekonały go, że powinien podjąć taką decyzję.

- Ale co to oznacza dla nas? - spytała z werwą Candy.

Rafe się uśmiechnął, robiąc dla większego efektu pauzę, a potem wszystko wyjaśnił. Czekają ich wiele pracy. Allman Industries musi pokonać wszystkich rywali, którzy będą się starać o ten teren. Jakie winnice można tam założyć! To miejsce było doskonałe pod względem położenia i warunków glebowych. Do tej pory pasły się tam wyłącznie krowy. Po wygraniu przetargu trzeba zaplanować sposób wykorzystania terenu.

- To będzie wielka bitwa - rzucił sceptycznie menedżer Jerry Perez. - Wszyscy wielcy deweloperzy będą walczyć o tę ziemię.

- Dlatego musimy działać bardzo szybko i przekonać paru legislatorów, że nasza oferta jest najlepsza - odparł z satysfakcją Rafe. - Dzwoniłem już w tej sprawie do Austin. Ale w tej chwili najważniejsze jest to, żeby przygotować plan tej ważnej bitwy, który przedstawimy na konkursie.

Uśmiechnął się, wzruszając ramionami.

- Nieźle pomyślane, co? I tak musimy wykonać tę pracę. W poniedziałek rano wrócimy do firmy i połowa roboty będzie już za nami.

Potem dalej wyjaśniał, co trzeba zrobić. Gestykulował z ożywieniem, a wszyscy obecni kiwali głowami. Miał ich w rękę. Był wspaniały, po prostu istny geniusz.

Kiedy skończył, potoczył wzrokiem po zebranych.

- Co o tym myślicie? - spytał z dumą.

Przez dłuższą chwilę panowała nieprzyjemna cisza.

- To świetnie, Rafe, ale... - Uśmiechnęła się niepewnie Candy. - Myślę, że powinniśmy poddać ten pomysł pod głosowanie.

- Głosowanie? Dlaczego nie. - Osobiście nie miał nic przeciwko oficjalnym procedurom. - Wszyscy, którzy popierają mój plan, niech podniosą ręce.

- Chwileczkę! - zawołała Candy, zerkając na Shelley. - Nie sądzisz, że to powinno być tajne głosowanie?

Shelley powoli podniosła się z krzesła. Jej twarz była zarumieniona, jakby była czymś zdenerwowana. Rafe nie miał pojęcia, o co chodzi.

- Tak - powiedziała głośno, spoglądając na niego wyzywająco. - Trzeba przeprowadzić tajne głosowanie.

To była zwykła strata czasu. Mimo to Rafe westchnął i skinął głową.

- Dobrze. Zróbmy tajne głosowanie.

Oczywiście to nie było takie łatwe. Najpierw ktoś musiał znaleźć blok papieru, potem odpowiednią liczbę ołówków, a na koniec Shelley zażądała krótkiego podsumowania obu planów, żeby przypomnieć wszystkim główne tezy.

- Mój plan dotyczy problemu pracowników, którzy mają dzieci. Jak zorganizować nad nimi opiekę, zwłaszcza nad najmłodszymi, chorymi i tymi, które kończą wczesnie zajęcia w szkole. W zaproponowanym przeze mnie scenariuszu nasza firma mogłaby zorganizować centrum opieki, gdzie pracownicy przyprowadziliby maluchy. Każda osoba, która korzystałaby z centrum, musiałaby od czasu do czasu zajmować się wszystkimi dziećmi. To byłby swego rodzaju podział pracy. Firma zatrudniłaby koordynatora i przyznałaby dodatkowe wolne dni chętnym do udziału w tym projekcie.

Potem Shelley przedstawiła w skrócie plan Rafe'a, starannie podkreślając wszystkie jego zalety. Choć Rafe był zadowolony z jej podsumowania, niecierpliwie zerkał na zegarek. Kiedy wreszcie zarządzono głosowanie, wpisał szybko nazwę swego planu i wręczył kartkę Shelley. Potem usadowił się w miejscu, z którego mógł dokładnie obserwować jej usta.

Kiedy spojrzała na niego, chytrze się uśmiechnął. Już nigdy nie zdradzi się, jak bardzo podoba mu się ta kobieta.

- Dziękuję wszystkim za udział w głosowaniu - powiedziała z poważną miną. - Mój plan wygrał. Przygotowałam dla was instrukcje, które przekażę po zebraniu. Jest już dosyć późno. Za pół godziny rozpoczyna się popołudniowy wykład, więc jeśli ktoś ma jakieś pytania...

Rafe zamrugał, nie mogąc uwierzyć w to, co słyszy.

- Chwileczkę! - zawołał ze złością. - Co to znaczy, że twój plan wygrał? Shelley oblizwała zmysłowe wargi i spojrzała na niego ze spokojem.

- Dostałam więcej głosów, Rafe.

- Nie wierzę - powiedział przez ściśniętą krtanią. - Musimy to sprawdzić. Teraz ona poczerwieniała ze zdenerwowania.

- Dostałam więcej głosów. Niech ci to wystarczy.

- To niemożliwe. - Był przekonany, że zaszła jakaś pomyłka. - Mój plan jest doskonały.

Wszyscy przestępowali z nogi na nogę i nikt nie miał odwagi spojrzeć mu w oczy. Rafe zaczął rozumieć, że nie wszystko będzie tak, jak sobie wymyślił.

- Twój plan jest bardzo dobry - zgodziła się Shelley - ale mój otrzymał więcej głosów.

Rafe zmarszczył brwi. Wydawało mu się, że w oczach Shelley maluje się triumf.

- Jaki jest wynik? - spytał.

- Rafe, naprawdę...

- Chcę wiedzieć, jaki jest wynik.

Shelley wzięła głęboki oddech.

- Sześć do jednego - odparła cicho.

Przez chwilę myślał, że źle słyszy, ale potem zrozumiał. To po prostu bunt. Wszyscy go zdradzili.

- Nie - odparł, potrząsając głową. - To niemożliwe, żebyście uważali, że jej plan jest lepszy. To po prostu nielogiczne.

Candy pierwsza podniosła głowę.

- Posłuchaj, Rafe - powiedziała, uśmiechając się z wysiłkiem. - Twój plan oczywiście kryje w sobie duże możliwości wzrostu zarobków i tak dalej. Gdybyśmy byli w firmie i dyskutowali o ewentualnych zyskach płynących z tego przedsięwzięcia, z pewnością odnieśliśmy się do niego z większym entuzjazmem.

Rozejrzała się po pokoju, szukając wsparcia. Wszyscy zgromadzeni pokiwali głowami.

- Ale przyjechaliśmy tu, żeby wziąć udział w konkursie. Rozmawialiśmy na ten temat przed twoim przyjściem. Naszym zadaniem jest przedstawienie sędziom prezentacji. Nie wszyscy z nich należą do świata biznesu. W jury jest także redaktor telewizyjny, pisarz i prezeska miejscowego klubu ogrodniczego.

Candy westchnęła głośno, spoglądając Rafe'owi prosto w twarz.

- To zwykli ludzie, a nie rekiny biznesu. Nie obchodzą ich wyniki finansowe naszej firmy. Na pewno będą woleli usłyszeć coś chwytającego za serce. Pomysł wspólnej opieki nad dziećmi przemówi do nich znacznie łatwiej.

Rafe rozejrzał się po pokoju. Był obrażony i zły. Do pewnego stopnia czuł się nawet zdradzony. Wiedział, że nie doszłoby do tego, gdyby Shelley nie poprzysięgła mu zemsty. Miał ochotę wygarnąć wszystkim, co o nich myśli.

Ale był zbyt mądry, żeby tak się zachować. Awantura nic by mu nie dała. Wręcz przeciwnie, jeszcze bardziej by się pograżył. Czy przegrał? Do diabła, tak!

Przez chwilę próbował się uspokoić. To jeszcze nie koniec świata. Zawsze jest jakieś wyjście. Wzruszył ramionami i uśmiechnął się łagodnie.

- Dobrze - powiedział. - A więc co mam robić?

Shelley uniosła w górę ślicznie zarysowaną brew i spojrzała na niego z ukosa. Jej nie da się oszukać. Wiedziała, że Rafe wcale się nie poddał.

- Candy weźmie kilka osób oraz kamerę wideo i zrobią krótki reportaż do konkursu - wyjaśniła. - Rozmawiałam już z dyrektorką miejscowej szkoły prywatnej, która wyraziła na to zgodę.

- Dobrze - powiedział. - Ale jakie jest moje zadanie?

Shelley nie miała okazji mu wyjaśnić, bo właśnie zadzwonił jej telefon komórkowy. Przepraszyła Rafe'a i wycofała się do małego stolika pod oknem. Reszta zespołu witała, zbierając swoje papiery i zawzięcie z sobą dyskutując.

Rafe z uśmiechem rzucił jakąś uwagę, ale przez cały czas nie spuszczał wzroku z Shelley. Choć nasłuchiwał uparcie, zdołał wychwycić tylko urywane strzępki zdań.

- Bardzo dziękuję za wiadomość - powiedziała w końcu. - Skontaktuję się, jak tylko będę mogła.

Schowwała telefon, zerkając na Rafe'a. Patrzył na nią bez cienia uśmiechu na twarzy.

Shelley wiedziała, że powinna się cieszyć. Pomachać triumfalnie ręką i słuchać oklasków popleczników. Pokonała w głosowaniu wielkiego Rafe'a Allmana!

Wcale nie była pewna wyniku i właściwie zaskoczyło ją to zwycięstwo. Jej pomysł podobał się wszystkim. Oczywiście z wyjątkiem Rafe'a, który zresztą wcale jej nie słuchał. Ale cała reszta zespołu głosowała na nią, dzięki czemu poczuła w sobie wielką siłę. Może wreszcie coś jej się w życiu uda.

Niestety satysfakcja z wygranej nie trwała długo. Shelley nie lubiła wygrywać niczym kosztem, nawet Rafe'a Allmana. Wiedziała, że grunt usunął mu się spod nóg. Znała go na tyle, by nie wątpić, że znajdzie na nią jakiś sposób. On nie poddawał się tak łatwo. Trzeba na niego bardzo uważać.

Ale i tak wszystko poszło wyśmienicie. Nie spodziewała się takiego sukcesu w starciu z Rafe'em.

Co prawda było jedno małe potknięcie. Pocałunek. To się jednak nie powtórzy. Później będzie się tym martwić. Teraz musi sprawdzić adres, który otrzymała od jednego z dawnych znajomych. Nie można zwlekać, bo jest mało czasu na odnalezienie Quinna.

Tylnymi drzwiami wymknęła się z sali wykładowej i szybkim krokiem ruszyła korytarzem, modląc się w duchu, żeby tylko nikogo nie spotkać. Nic

się nie stanie przez to, że będzie nieobecna na wykładzie, bo nie spodziewała się usłyszeć nic, czego by jeszcze nie wiedziała.

Zadzwoiła z telefonu komórkowego na parking i poprosiła, żeby ktoś z obsługi podstawił jej samochód pod główne wyjście. Teraz wóz już na nią czekał. Wręczyła napiwek i usiadła za kierownicą, nie zdając sobie sprawy, że wcale nie jest sama.

- Rafie Allman! - zawołała przerażona, spojrzawszy na sąsiednie siedzenie. - Wsiadaj z mojego samochodu!

- Dlaczego? - zdziwił się.

Przygryzła wargi, żeby na niego nie wrzasnąć.

- Dlatego że powinieneś być teraz na wykładzie.

- Ty możesz go opuścić, a ja nie? - spytał z udawanym zdziwieniem.

- Och! - Przymknęła oczy, żeby opanować wściekłość. - Ja mam coś ważnego do załatwienia. Postaram się za chwilę wrócić. - Wciąż się pilnowała, żeby nie wpaść w złość. - Ktoś musi być na wykładzie, żeby wszystkiego dopilnować. Idź do hotelu i...

- Nic z tego, Shell - odparł z uśmiechem. - Zapomniałaś, że jesteś teraz szefową? To ty musisz czuwać nad pracą zespołu. W końcu mamy realizować twój projekt. To nie ja jestem teraz najbardziej potrzebny.

- O to ci chodzi? - spytała przez zaciśnięte zęby. - Jesteś zły, że przegrałeś głosowanie i chcesz się na mnie wyładować?

- Nie - odparł z wahaniem. - Żałuję, że nie wygrałem, bo mój pomysł był bardzo dobry. Taka okazja nie zdarza się zbyt często. Dostałem poufne informacje na temat tego, o czym wszyscy dowiedzą się dopiero w przyszłym tygodniu, i uważam, że powinniśmy to wykorzystać.

Uniósł w górę brew, przyglądając się Shelley. Chyba ona to rozumie? Każdy rozsądnie myślący człowiek by to dostrzegł. Chyba że ktoś jest zaślepiony przez prywatne animozje.

- Współczuję ci - rzuciła sucho.

- Daj spokój, Shelley. Dobrze wiesz, że mój plan był lepszy. Konkretny i przynoszący realne korzyści, a nie jakieś zawracanie głowy.

Shelley wzięła głęboki oddech, nie spuszczając wzroku z Rafe'a. Nie może ulec pokusie, żeby skoczyć mu do gardła. Spokój przyniesie jej większą korzyść.

- Poza tym - dodał - uważam, że centrum opieki nad dziećmi to bardzo głupi pomysł.

- Ale nadzwyczaj popularny - stwierdziła, podziwiając własne opanowanie.

- Nadzwyczaj - odparł, kiwając z powątpiewaniem głową. Potem skrzywił się, przesywając ją wzrokiem. - Ale nie o to przecież chodzi.

- Nie? - zdziwiła się.

- Nie. Chodzi o to, gdzie, do diabła, chcesz jechać?

Nigdzie, jeśli zaraz się go nie pozbędzie.

- To nie twoja sprawa - odparła z kamienną twarzą wpatrując się w dłonie oparte na kierownicy.

- Może nie moja, ale nie wysiądę z samochodu, więc i tak wkrótce się dowiem.

Shelley nie wiedziała, co ma zrobić. Spokój nic jej nie dał. Ani kłótnie. Przegrana w głosowaniu w ogóle na niego nie podziałała. Jakich sposobów można było jeszcze użyć? Błagać go o litość?

- Och, Rafe! Proszę... - szepnęła.

Nagle z tyłu rozległ się klakson. Rafe obejrzał się, unosząc dłoń.



- Ha! - zawołał triumfalnie. - Musimy jechać, bo przez ciebie zrobił się korek.

- Chyba przez ciebie - syknęła przez zaciśnięte zęby, ruszając naprzód.

- Nie lubię, kiedy ktoś spiskuje za moimi plecami i...

Shelley nie mogła dłużej tego znieść. Skrzyła w główną ulicę, czując, że nie uda jej się zachować tajemnicy. Jej sytuacja była nie do pozazdroszczenia.

- Słuchaj, Rafe - powiedziała, unikając jego wzroku. - Powiem ci, gdzie jadę, jeśli obiecasz, że natychmiast wrócisz do hotelu.

- Nie będę nic obiecywać, Shelley. I nie zamierzam wysiąść.

- Och!

- Uspokój się. Prowadzisz samochód. Po prostu mam ochotę się przejechać. Ale z chęcią posłucham - dodał, zerkając na nią - co masz mi do powiedzenia.

Shelley wzięła głęboki oddech i powoli wypuściła powietrze. Nie ma chyba wyjścia. Musi uchylić rąbka tajemnicy. Może Rafe zachowa się przyzwoicie, jeśli mu zdradzi, dokąd jedzie. W każdym razie trzeba spróbować. Skoro jest tak uparty, to i tak prawdopodobnie by się o wszystkim dowiedział.

- Dobrze - powiedziała z ociąganiem. - Jadę szukać człowieka, który nazywa się Quinn Hagar.

Rafe zastygł w bezruchu.

- To twój dawny chłopak? - spytał cicho.

- Ależ skąd! - odparła, przewracając oczami. - Ktoś mnie prosił, żeby go o coś spytać.

- Kto?

- Nie mogę ci tego powiedzieć - odparła, zerkając na niego z ukosa.

- A więc to ktoś, kogo znam - powiedział z błyskiem w oku. - Inaczej byś mi powiedziała.

Shelley westchnęła. Ten człowiek był okropny. Skreśliła w kierunku zaniedbanej dzielnicy miasta.

- No tak - zastanawiał się głośno Rafe. - Mówiłaś, że to nie Jason McLaughlin.

- To nie on.

- Hm. Czy to...?

- Nie zaczynaj tej gry - ucięła krótko - bo i tak ci nic nie powiem.

- Masz rację - odparł, kiwając głową. - Przygotowałem taką długą listę nazwisk, że w końcu zrobiłoby się to nudne.

Shelley przewróciła oczami, zatrzymując się na światłach.

- Dlaczego tak mnie torturujesz?

- A dlaczego nie? - odparł z uśmiechem. - Uwielbiam cię torturować, moja bogini.

Spojrzała na niego ze zdumieniem. Jak to się stało, że rozmawiali z sobą tak serdecznie? Niby znała Rafe'a Allmana od dziecka, ale tak naprawdę stanowił dla niej zagadkę. Może on nie był taki straszny?

Na pewno pochodził z dobrej rodziny. Jego matka była anielsko dobra. Ojciec raczej nie, ale ich córka Jodie była jej serdeczną przyjaciółką. Z Mattem także się przyjaźniła, a najstarsza córka Rita była wiernym odbiciem matki. Młodszy brat David był niesfornym rozrabiaką. Tylko Rafe przez całe życie sprawiał jej kłopoty.

- Nie jestem twoją boginią - odparła cicho.

- Chyba masz rację - powiedział, pochmurniejąc. - Trochę przesadziłem.

W końcu zawsze skakaliśmy sobie do oczu.

- O, tak, z pewnością.

Spojrzeni na siebie, rozumiejąc bez słów, że wcześniejszy pocałunek zmienił ich stosunki. Zapaliło się zielone światło i Shelley ruszyła naprzód.

- Biorąc to pod uwagę, chyba trochę tortur jest na miejscu, nie sądzisz? - spytał zaczepnie.

Shelley się uśmiechnęła.

- To znaczy, że powinnam ci się odpłacić.

Rafe jęknął głośno.

- Tylko nie przesadzaj z tym feminizmem. W końcu już popsulaś mi weekend.

- Dlatego że zwyciężyłam w głosowaniu?

- Tak. To prawdziwa klęska. Musimy wygrać ten konkurs, a twój plan nie zapewni nam zwycięstwa.

Czy chciał, żeby złożyła broń? Wykluczone. Shelley nie miała zamiaru mu ustąpić.

- Powiedz mi, dlaczego to takie ważne? - spytała spokojnie.

Rafe wytrzeszczył oczy ze zdziwienia.

- Naprawdę nie wiesz?

- Chodzi ci o ojca, prawda? - spytała, zerkając na niego z ukosa.

- Słuchaj... - bąknął, czerwieniąc się.

- Mam rację, co? Chcesz zaimponować ojcu.

- Sama nie wiesz, co mówisz - obruszył się, opadając na siedzenie.

- Owszem, wiem. Nie pamiętasz, że codziennie do was przychodziłam?

Widziałam wszystko. - Westchnęła, kręcąc głową. - Dlaczego nie chcesz się przyznać, Rafe? Zawsze byłeś przewrażliwiony na punkcie ojca. A on faworyzował Matta i...

- Wystarczy, Shelley - rzucił twardo.

Ale w głębi duszy było mu przykro. Nie chciał rozmawiać o sprawach, które były bolesne. Tylko czy można wiecznie tłumić w sobie ból? Lepiej spojrzeć prawdzie w oczy. Tak, ojciec nie był dla niego sprawiedliwy. Powinien docenić, jak świetnie Rafe zarządza firmą, zamiast ciągle stawiać mu za przykład Matta. Nigdy jednak tego nie widział. Dlatego Rafe nie przestawał walczyć, starając się udowodnić ojcu, że jest kimś. Może kiedyś...

Do diabła! Po co w ogóle poruszyła ten temat? Rafe zezłościł się, ale za chwilę nie czuł już do niej urazy. Shelley była taka śliczna. I powiedziała mu szczerą prawdę. A on nie bał się prawdy. Nie bał się niczego na świecie.

- Przepraszam - powiedziała, czując, że Rafe ją obserwuje. - Powinnam trzymać język za zębami, prawda?

Rafe nic nie odpowiedział. Shelley zwolniła, bo zbliżali się pod wyznaczony adres. Sięgnęła po torebkę, ale Rafe ją wyręczył, wyjmując z bocznej kieszonki kartkę z zapisanym adresem.

- N. Fardo 3457 mieszkanie 13 - przeczytał na głos i skrzywił się. - Myślałem, że nie oznacza się tym pechowym numerem pokoi hotelowych ani mieszkań.

- Nie wiedziałam, że jesteś przesądny - zdziwiła się, skręcając w Fardo.

- Nie wiesz o mnie wielu rzeczy.

- Na pewno.

- To ten duży pomarańczowy dom po lewej stronie - powiedział, przyglądając się budynkom.

Shelley zerknęła w bok, po czym skręciła i zaparkowała przed wejściem.

Rafe spojrzał na odrapaną rudere.

- Twój przyjaciel Quinn chyba nie ma szczęścia - powiedział cicho.

- Możliwe - rzuciła, wysiadając z samochodu. - Zaczekaj tutaj. Zaraz wrócę.

- Nie ma mowy - wymamrotał, także wysiadając.

- Rafe...

- Nie wejdiesz do tego domu sama.

Nie chciała się kłócić na ulicy, więc tylko spiorunowała go wzrokiem i weszli razem do środka. Brudne ściany i wyrwana skrzynka na listy sprawiały przykry widok. W powietrzu unosił się zapach smażonej cebuli, a w mieszkaniu na parterze płakało dziecko.

- To tam na końcu korytarza - powiedziała, wyciągając rękę. - Pójdę sama. Zaczekaj tutaj.

Rafe skinął głową. Wiedział, kiedy powinien dać jej spokój.

- Ale nie wchodź do środka - powiedział. - Chcę cię widzieć przez cały czas.

Shelley się zawahała. Planowała co innego, lecz w gruncie rzeczy to była dobra rada.

- Zgoda - odparła, ruszając naprzód.

To miejsce było tak odrażające, że włosy stanęły jej na głowie. Pamiętała Quinna jako przystojnego, beztroskiego chłopaka o jasnych oczach i wesołym uśmiechu na twarzy. Nie znała go zbyt dobrze, ale wydawało jej się, że ten człowiek ma przed sobą przyszłość. To miejsce świadczyło o czymś innym.

Zapukała do drzwi. Cisza. Odczekała chwilę i zapukała jeszcze raz.

- Quinn! - zawołała.

Bez odpowiedzi. Ktoś z sąsiedniego mieszkania wyjrzał przez szparę na korytarz, po czym drzwi znowu się zatrzasnęły. Shelley wyjęła z torebki kartkę papieru i ołówek, napisała krótką wiadomość ze swoim numerem telefonu i wsunęła kartkę pod drzwi. Odwróciła się, oddychając z ulgą. Rafe czekał na nią przy wejściu.

- Nie masz szczęścia, co? - powiedział, gdy już była blisko.

- Nie zastałam go - odparła, potrząsając głową.

Wyszli powoli na dwór. Shelley zauważyła, że w podziemiach budynku jest parking. Przyszło jej do głowy, żeby sprawdzić, czy pod numerem trzynastym stoi zaparkowany samochód, ale zrezygnowała z tego pomysłu.

- Zostawiłam swój numer telefonu - powiedziała, zatrzymując się przy samochodzie i rozglądając po ulicy. - Może zadzwoni do mnie, kiedy wróci?

- Może.

Rafe otworzył przed nią drzwiczki samochodu.

- Co robisz? - spytała.

- Udamę, że jestem dżentelmenem - odparł z uśmiechem.

- To wielki wysiłek - powiedziała ubawiona.

Jego oczy błyszczały w słońcu, włosy były prawie czarne i był tak dobrze zbudowany, że wyglądał nie tylko jak dżentelmen, ale jak bohater. Serce załopotało jej w piersi, speszona odwróciła głowę.

Wtedy właśnie zobaczyła niebieski samochód wyjeżdżający z podziemnego parkingu.

- O Boże! - zawołała. - Wsiadaj szybko do środka!

- Co się stało?

- Szybko, szybko! To on!

Rafe ledwo zdążył usiąść w fotelu, gdy Shelley ruszyła ostro naprzód.

- Hej! Co robisz? - zawołał przerażony.

- Muszę go dogonić - zawołała, pędząc jak szalona. - To moja jedyna szansa!

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Adrenalina pulsowała jej w żyłach, lecz Shelley mimo to zachowywała trzeźwość umysłu.

- Patrz! Przed nami jedzie Quinn! - zawołała, rozglądając się na boki.

- Spokojnie, Shelley! - powiedział Rafe, pochylając się, by zapiąć jej pas.

- Przecież on daleko nie ucieknie. Jeśli nie dzisiaj, to złapiemy go następnym razem.

Shelley się nie odezwała. Miała przeczucie, że jeśli teraz go nie złapie, to Quinn się postara, żeby go więcej nie ujrzała.

Wzięła ostry zakręt w ślad za niebieskim samochodem, aż opony zapiszczały na asfalcie.

- Hej! Nie za szybko skręcasz? - spytał niespokojnie.

- Siedź cicho! - rozkazała, wpatrując się przed siebie.

Niebieski samochód znów zniknął za zakrętem.

- Shelley!

- Co?

- Jedź wolniej!

- Nie mogę.

Musiała jednak trochę zwolnić, a potem się zatrzymać, bo grupka pieszych właśnie przechodziła po pasach. Z dwojga złego lepiej było zgubić Quinna, niż zrobić komuś krzywdę.

- Do diabła! - wymamrotała, bębniąc palcami po kierownicy. - Szybciej, szybciej!

Przestała słuchać, co mówi do niej Rafe. Kiedy droga była już wolna, pognała naprzód. Potem szybko wjechała na autostradę. Niebieski samochód

oddalił się, więc dodała gazu. Nie mogła spojrzeć w bok, ale domyślała się, że Rafe spogląda na nią ze zdumieniem. Nie szkodzi. Serce biło jej szybko, ale była dobrym kierowcą.

Nareszcie.

Quinn zjechał z autostrady i tym razem Shelley zwolniła, biorąc zakręt. Potem skręcił jeszcze raz i zniknął im z oczu.

- Gdzie on mógł pojechać? - zawołała z rozpaczą, dojeżdżając do skrzyżowania.

- Nie wiem. Skręć w prawo.

Zrobiła tak, jak jej poradził, ale nagle przed nimi pojawiła się bariera blokująca ulicę.

- A niech to! - krzyknął Rafe.

Shelley nacisnęła hamulec i samochód zatrzymał się gwałtownie przed samą przeszkodą. Nigdzie wokół nie było niebieskiego samochodu. Zrezygnowana opadła na siedzenie i oboje z Rafe'em siedzieli nieruchomo, ciesząc się, że w ogóle jeszcze żyją.

- Ale pościg! - zawołał Rafe, wybuchając nagle głośnym śmiechem.

Potem spojrzał na jej wargi i uśmiech zamarł mu na ustach. Wiedziała, że znów ją pocałuje. Nie mogło być inaczej. W jego oczach było takie podniecenie, że krew zapulsowała w jej żyłach. Czekala, drżąc z rozchyłonymi ustami.

Rafe się nie zawahał. Pocałował ją mocno, a ona przytuliła się do niego. Wiedziała, że nie powinna tego robić, ale było jej tak cudownie. Jego usta były gorące i wilgotne, a ona tak bardzo go pragnęła. Nagle z przerażeniem odsunęła się od Rafe'a.

- Nie mogę uwierzyć, że znów do tego doszło - powiedziała, z trudem łapiąc oddech.



- O czym mówisz? - spytał ochryłym głosem.

- Jak to o czym? O pocałunkach. - Położyła dłonie na jego piersi i odepchnęła go od siebie. - Nie powinieneś mnie całować.

- Dlaczego nie? - Rafe był wciąż tak blisko, że czuła na policzku jego oddech.

- Dlatego że... dlatego że nienawidzimy się nawzajem, prawda? - rzuciła z wahaniem.

- Nie wiem. - Dotknął palcem jej brody i przysunął się bliżej.

- Co robisz? - spytała cicho, opierając bezradnie dłonie na jego piersi.

- Jeszcze raz cię pocałuję.

- O, nie - odparła, potrząsając głową. Nie mogła złamać danego sobie słowa. - Jeden pocałunek na jeden pościg. Więcej nie wolno.

Kiedy się zawahał, sama nie wiedziała, czy wolałaby, żeby dał jej spokój, czy też ją pocałował. Posłusznie odsunął się do tyłu, a ona poczuła się bardzo rozczarowana.

- Do diabła! - powiedziała, starając się szybko zmienić temat. -

Zgubiliśmy Quinna.

- Dlaczego on uciekał? - zainteresował się Rafe.

Shelley potrząsnęła głową. Nie знаła odpowiedzi na to pytanie.

- Nie mam pojęcia. Zawsze byliśmy w dobrych stosunkach. Kiedyś nawet przyjaźniliśmy się z sobą.

Westchnęła głęboko, zapuszczając silnik. Potem zawróciła, ruszając w kierunku autostrady.

- Może nie chciał ci czegoś powiedzieć? - podsunął Rafe.

- Sama nie wiem - odparła, zerkając na niego. - Ale to niewykluczone.

- No, tak - uśmiechnął się Rafe. - Co za przygoda! Nie wiedziałem, że jesteś mistrzynią kierownicy.

Shelley rozpromieniła się z dumą.

- Byłem świadkiem, jak uczyłaś się jeździć. Pamiętasz? - spytał ze śmiechem. - Prawdę mówiąc, sam nauczyłem cię chyba paru sztuczek.

Rzeczywiście nie zapomniała tego. Uśmiech zniknął z jej twarzy.

- Nie nauczyłeś mnie niczego, Rafie Allman. Twój brat Matt uczył mnie jeździć starym fordem kombi. Przez cały czas siedziałeś na tylnym siedzeniu i mi dokuczałeś.

Rafe poczuł się urażony jej niewdzięcznością.

- Wcale ci nie dokuczałem, tylko dawałem wskazówki. To była konstruktywna krytyka. Rady eksperta.

- Dokuczałeś. Dobrze wiesz, że byłeś niedobry.

- Chyba jesteś przewrażliwiona. Nigdy nie przyszło ci to do głowy?

- Nie. Bez przerwy mnie złościłeś - odparła, zerkając na niego z ukosa. - Od pierwszej chwili nie dawałeś mi spokoju. I to samo robisz dzisiaj.

Rafe wpatrywał się w nią przez chwilę, a potem odchylił do tyłu głowę i wybuchnął gromkim śmiechem.

Shelley także się uśmiechnęła. Nie udało jej się dzisiaj wypełnić zadania, ale i tak miała dobry nastrój. Dobrze wiedziała, że zawdzięcza to mężczyźnie, który siedział obok niej.

- O, jest nasza zguba.

Shelley z przeproszającym uśmiechem weszła do sali konferencyjnej, w której siedziała reszta jej zespołu. Wiedziała, że wszyscy niepokoili się, co się stało, podczas gdy ona i Rafe ścigali Quinna po ulicach San Antonio. Ale teraz cała grupa była już w komplecie i szkoda było czasu na dyskusje.

- Przepraszam was - powiedziała. - Mamy jeszcze dwie godziny do kolacji, więc wykorzystajmy je jak najlepiej.

- W porządku, Shelley - odezwał się Rafe, puszczając do niej oko. -  
Trzymam wszystko pod kontrolą.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem. Po powrocie z miasta oboje poszli do siebie, żeby się odświeżyć przed zebraniem - a przynajmniej tak myślała. Rafe chyba poszedł prosto do sali konferencyjnej. Z zakasanyimi rękawami siedział teraz przy stole, jakby od dawna był pogrążony w pracy.

- Słuchaj - powiedział do Candy - chciałbym obejrzeć twój film. Czy możesz wyświetlić go na tym monitorze?

Shelley zbliżyła się do niego.

- Co robisz? - spytała ze złością.

- Staram się pokierować pracą - odparł z uśmiechem zadowolony z rozwoju sytuacji. Zachowywał się jak szef.

- To moja rola - powiedziała cicho, żeby nikt inny jej nie usłyszał.

Ale wszyscy i tak przyglądali się im obojgu. Na pewno byli ciekawi, jak to się skończy: czy to Rafe będzie rządzić, czy też ona. Shelley wzięła głęboki oddech, starając się zebrać siły. Powinna teraz zająć zdecydowane stanowisko. Ale patrząc na Rafe'a, który był tak przystojny i pewny siebie, zastanawiała się, jak to zrobić.

- Słuchaj, Rafe. To ja mam kierować zespołem, nie pamiętasz?

- Oczywiście, że pamiętam - odparł z uśmiechem. - Nie ma problemu, Shelley. Wszystko będzie dobrze.

Dorie, młoda asystentka, zbliżyła się do niego.

- Panie Allman - powiedziała z wahaniem, spoglądając na niego błękitnymi niewinnymi oczami - zrobiłam to zestawienie, o które pan prosił. Czy mam je dla pana skserować?

- Dziękuję, Dorie - odpowiedział. - Tak, idź to skserować.

- Chwileczkę.

Shelley nie mogła rozpoznać swego głosu. Ale wszyscy słyszeli, co powiedziała. Zaraz pokaże Rafe'owi, gdzie jest jego miejsce. Czy będą uważać ją za wiedźmę? Chyba tak, lecz nie miała innego wyjścia.

- Wydaje mi się, że zapominamy, jaki jest temat tego konkursu - powiedziała drżącym głosem. - Zamiana stanowisk. Cel jest taki, żeby szefowie i pracownicy zamienili się rolami i przedstawili własne sposoby rozwiązywania problemów, oceniając sytuację z innej perspektywy. Zmieniamy porządek rzeczy. Można powiedzieć, że staramy się uruchomić inicjatywy oddolne.

Przerwała na chwilę, rozglądając się po sali. Twarze zebranych były bez wyrazu. Tylko w oczach Rafe'a tliły się iskierki. Był zły czy rozbawiony? Nie wiadomo.

- Sędziowie będą oceniać, jak poradziliśmy sobie z tym zadaniem, a nie to, czy nasz pomysł jest najlepszy - dodała, spoglądając znacząco na Rafe'a. - Postarajmy się więc nie zapominać o tym, dobrze?

Spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Myślisz, że sędziów nie interesuje sam pomysł? Chyba oszalałaś.

O Boże! On wciąż się upierał, żeby realizowali jego plan. Nie do wiary! Przecież to ona wygrała w głosowaniu, choć patrząc na niepewne twarze członków zespołu, zastanawiała się, czy Rafe w końcu nie dopnie swego.

- Twój pomysł był bardzo dobry, Rafe, ale postanowiliśmy wybrać mój - rzuciła stanowczo.

Złość przeważała i jej głos już nie drżał.

- Wiem - odparł spokojnie, wzruszając ramionami.

Shelley zacisnęła zęby. On nigdy się nie podda.

- Jeśli tak cenisz swój pomysł, to dlaczego nie zaproponujesz go zespołowi B? - powiedziała. - O ile wiem, oni wciąż debatuja nad tematem.

- Oddać komuś mój pomysł? Do diabła, nie! Muszę mieć go w rezerwie, jeśli twój pomysł spali na panewce.

Shelley otworzyła usta ze zdumienia. Niełatwo było jej powstrzymać gniew. Rafe zmuszał ją do bardzo rygorystycznego postępowania. Nie może teraz mu ustąpić, bo ten weekend zamieniłby się w piekło. Rafe w ogóle przestałby jej słuchać, podobnie jak i cały zespół.

- Słuchajcie uważnie - powiedziała bardzo głośno. - Podczas tego weekendu ja jestem szefową. Candy jest moją asystentką, a Rafe asystentem Candy. Będę przekazywać polecenia przez Candy. Możecie zgłaszać jej swoje problemy, a ona zwróci się z nimi do mnie.

Członkowie zespołu wciąż mieli niewyraźne miny. Może Shelley była za mało stanowcza? Czy powinna zacząć krzyczeć, żeby wreszcie ją zrozumieli?

- Oczywiście mamy zwracać się do ciebie per panno Sinclair - powiedział lekko drwiącym tonem Rafe.

Shelley spojrzała na niego wyzywająco.

- Tak. To najbardziej odpowiednia forma, dopóki uczestniczymy w tym konkursie - powiedziała, tocząc wzrokiem po zebranych. - Gdybyście mówili do Rafe'a „panie Allman”, a do mnie „Shelley”, to wprowadzałoby nieodpowiednią atmosferę. Chyba to rozumiecie, prawda?

Na sali rozległ się chichot, który umilkł pod jej groźnym spojrzeniem. Znakomicie. Zespół czuje wobec niej respekt. Udało jej się nad nimi zapanować.

- Zajmijmy się teraz obsadą skeczu, dobrze? - powiedziała, biorąc do ręki scenariusz. - Candy będzie panią o złotym sercu z działu pocztowego. Dorie sekretarką w ciąży. Jerry, ty będziesz ojcem dziecka. Rafe zagra rolę sceptycznego kierownika, który uważa, że nic się nie uda.

- To nie będzie trudne - odparł z uśmiechem, krzyżując ręce na piersiach.

Shelley rzuciła mu gniewne spojrzenie.

- A na końcu uznasz, że to bardzo nowatorski pomysł i będziesz wielkim entuzjastą programu.

- To wymaga większych zdolności aktorskich - jęknął, krzywiąc się.

- W takim razie się postaraj, dobrze?

Rafe zamrugał, chyba zdając sobie wreszcie sprawę, że Shelley się nie ugnie.

- Oho! Daj kobiecie trochę władzy, a stanie się prawdziwą dyktatorką! - burknął niechętnie. - Dlaczego to ty masz rozdzielać role?

Shelley wyprostowała się, choć brakowało jej wiele do postury Rafe'a, który miał dużo ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Spojrzała wokół, po czym uniosła ręce jak dyrygent orkiestry symfonicznej.

- Dlatego że - powtórzmy chórem - Shelley Sinclair jest szefową!

Wszyscy powtórzyli jej słowa. Wszyscy z wyjątkiem Rafe'a.

Spojrzała na niego, unosząc brwi.

- Nie powtórzę tego - oświadczył buntowniczo.

- Powtórzysz albo cię wyrzucę.

Rafe przeszył ją wzrokiem, lecz ona wytrzymała jego spojrzenie zdecydowana, że nie pozwoli mu wygrać. Może go „wyrzucić” tylko z konkursu, ale to i tak odbiłoby się głośnym echem. Czy Rafe odważy się jej przeciwstawić? Czy zmusi ją, żeby go wyrzuciła? Wtedy na pewno nie wygrała konkursu. Serce waliło jej ze strachu.

Rafe patrzył jej w oczy, starając się rozszyfrować, czy mówi serio. Potem jego spojrzenie złagodniało. Może przypomniał sobie, jak zawzięcie ścigała Quinna. Chyba tak, bo jego twarz nie była już zacięta, lecz dobrotliwie rozbawiona.

- Dobrze. - Uniósł ręce, dając znak zespołowi. - Powtórzmy chórem.

Shelley Sinclair jest szefową.

Shelley odetchnęła z ulgą. Miała przeczucie, że Rafe nie będzie już się jej przeciwstawiał. Przynajmniej nie tej sprawie.

- Lepiej teraz? - rzuciła pytanie w przestrzeń.

Wszyscy się roześmieli. Myśleli, że żartuje, ale w jej słowach było ziarnko prawdy. Trudno ukryć, że ona i Rafe toczyli z sobą walkę, bo popołudnie pełne przygód wcale nie poprawiło ich stosunków. Pocałowali się, lecz wcale nie pogodzili. Choć w tej chwili zapanował rozejm, to na pewno nie jest ich ostatnia sprzeczka. Shelley wiedziała, że powinna być ostrożna.

Przez resztę popołudnia robili próbę skeczu, pracując zgodnie jak prawdziwy zespół. Shelley była bardzo zadowolona z wyników. Rafe traktował ją z należytą dozą uprzejmości i sympatii. Wszystko szło jak najlepiej. Co za ulga!

Po próbie rozeszli się do swoich pokoi, a kolacja w restauracji upłynęła w bardzo miłym nastroju. Wszyscy byli w dobrych humorach, jedli, śmiali się i bawili, rozstając się później, niż to było przewidziane. Potem, kiedy wstawali już od stołu po deserze, Rafe niespodziewanie zbliżył się do Shelley.

- Gdzie jedziemy dziś wieczorem? - szepnął do jej ucha.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Spojrzała na niego ze zdziwieniem. Chyba odgadł, że znów zamierza szukać Quinna. Nic nie można było przed nim ukryć.

- Umawialiśmy się? - spytała, otwierając szeroko oczy.

- Nie - uśmiechnął się, stając trochę zbyt blisko. - Ale przyczepiłem się do ciebie jak rzep.

- Dlaczego? - spytała, próbując odczytać prawdę z jego oczu.

- Bo krążysz po ciemnych zaułkach, w których możesz dostać w głowę. Ja cię obronię - dodał z uśmiechem.

Byli już w holu przy recepcji, gdzie panował duży gwar. Goście wracali do hotelu lub wychodzili na kolację. Hałas i ożywiony nastrój zmusił Shelley i Rafe'a, żeby iść bardzo blisko siebie, by w ogóle móc się słyszeć.

- Naprawdę? - zachnęła się. - Będiesz mnie bronić przed bandytami, a kto obroni mnie przed tobą?

Rafe otoczył ją ramieniem, prowadząc przez tłum.

- Chyba nie musisz się mnie bać - powiedział, pochylając się do jej ucha.  
- Myślisz, że co ci zrobię?

Shelley zadrzała. Jego oddech połaskotał jej szyję, aż zapragnęła tego, czego nie powinna.

- Nie wiem - odparła beztrąsko. - Może sprzedasz mnie na licytacji?

Rafe przysunął się jeszcze bliżej.

- Hej, przecież wiesz, że nigdy nie chciałbym pozbyć się ciebie w ten sposób.

- Nie? - spytała, spoglądając mu prosto w twarz. - A w jaki?

Rafe uśmiechnął się, udając, że się namyśla.



- Na licytacji, tak? Muszę przyznać, że to godne zastanowienia.

- Rafe! - jęknęła.

- Hej, to był żart. Tak pięknie to wymyśliłaś, że nie umiałem się oprzeć - powiedział, prowadząc ją w dół po schodach. - Jak myślisz, co mógłbym ci zrobić?

- Co mógłbyś mi zrobić? - powtórzyła filuternie. - Na przykład powiedzieć mi coś miłego. Nigdy nie przyszło ci to do głowy?

Wyszli już na ulicę. Na dworze panował przyjemny chłód w porównaniu z rozgrzanym powietrzem w hotelowym holu. Na ulicy połyskiwały neony i ludzie przechadzali się grupkami. Z klubu naprzeciwko dochodziły dźwięki muzyki.

- Na przykład co? - spytał, spoglądając na nią.

- Czy tak już z tobą źle - spytała zaczepnie, udając zatroskanie - że nie wiesz, co oznacza słowo „miły”?

Rafe się zatrzymał, zastanawiając się przez chwilę. Prawdę mówiąc, potraktował jej docinki całkiem serio. Pociągnął ją w ustronne miejsce pod palmami.

- „Miły”? - powtórzył, marszcząc czoło w zamyśleniu. - Wiem, co to oznacza - dodał z błyskiem w oku. - Bawiące się kociaki? Albo słońce wychodzące po deszczu zza chmur?

Rafe pogładził jej twarz wskazującym palcem.

- Albo piękna kobieta? - powiedział nieco ochrypłym głosem.

Serce zadrżało jej z rozkoszy. Wiedziała, że powinna kazać mu wrócić do hotelu i zostawić ją w spokoju. Chciała tak zrobić. Wzięła nawet głęboki oddech, ale nie mogła wydusić z siebie ani słowa. Czuła się tak cudownie, że nie umiała tego przerwać.

Chociaż wiedziała...

Co jej się stało? Przecież знаła go od dziecka. Kłóciła się z nim, nienawidziła go i robiła mu na złość. On też jej dokuczał. Rafe zachowywał się grzecznie w stosunku do sióstr, bawił się z braćmi i kochał matkę. Ale rzadko był miły, zwłaszcza dla Shelley.

Co więc tu robiła? Dokąd z nim szła? I dlaczego nie słyszała dzwonek alarmowych, które ostrzegały ją, że Rafe na pewno nie jest szczerzy?

Odpowiedź była prosta. Dlatego że nie chciała.

Ale w głębi serca wiedziała, że zachowuje się bardzo głupio. Przecież już raz dostała nauczkę. Słuchała kłamstw Jasona McLaughlina i udawała, że mu wierzy. Tak pragnęła znaleźć miłość, że jej zachowanie zasługiwało na pogardę. Jak mogła powtarzać błędy z przeszłości? Czy naprawdę była taka słaba?

Chyba tak.

- Jeszcze za mało? - Rafe uznał jej milczenie za dezaprobatę. - Dobrze. Zaraz ci pokażę, co to znaczy miły.

Pochylił się ku niej, przyglądając się z bardzo bliska jej twarzy. Lekko ujął ją pod brodę, jakby trzymał drogocenny skarb.

- Masz teraz najpiękniejsze usta, jakie widziałem w życiu - powiedział cicho.

Serce zabiło jej mocniej. Tak bardzo pragnęła być z Rafe'em. Ale przecież nie mogła mu tego powiedzieć. Wzięła głęboki oddech, robiąc obojętną minę.

- Myślisz, że chodziłam na zastrzyki wypełniające usta? - obruszyła się. - Wcale nie. Mam usta takie, jakie mam, i może ci się to podobać albo nie. Wcale się nie zmieniły odkąd... odkąd...

- Podoba mi się - odparł spokojnie, wciąż trzymając w dłoniach jej twarz. Shelley zamrugła, nie rozumiejąc jego słów.

- Co takiego? - spytała, ale jej słowa zabrzmiały jak zduszony szept.

Naprawdę powinna okazać więcej stanowczości.

- Dałaś mi wybór - odparł, wzruszając barczystymi ramionami. -

Powiedziałaś, że może mi się to podobać albo nie. Podoba mi się.

- Och!

Pragnęła, żeby ją pocałował, jednocześnie wiedząc, że nie może do tego dopuścić. Zbierając w sobie resztki sił, gwałtownie odsunęła się od niego.

Chciała się zirytować, ale zamiast tego odczuwała błogi spokój.

- Nie można z tobą rozmawiać - powiedziała, odwracając głowę. - Ze wszystkiego wciąż żartujesz. Nawet nie wiesz, jak mnie to denerwuje.

Rafe chwycił ją za ramię i odwrócił twarzą do siebie.

- A może podnieca? - spytał z nadzieją w głosie.

Shelley odetchnęła z ulgą, widząc, że z jego oczu zniknęło pożądanie.

Chyba wreszcie zdał sobie sprawę, że balansują na krawędzi przepaści. Skoro tak, może uda im się odzyskać równowagę.

- Nie - odparła stanowczo, kładąc dłonie na jego piersi, żeby nie mógł się do niej bardziej zbliżyć. - Raczej złości albo wyprowadza z równowagi.

Przez chwilę wpatrywał się w jej oczy, jakby nie wiedział, co ma zrobić dalej. Shelley zmarszczyła brwi i o dziwo to poskutkowało.

- Dobrze - rzucił niedbale, odsuwając się od niej. - Co mamy w planie? - spytał, zmieniając tak nagle ton na oficjalny, że zaczęła się zastanawiać, czy wcześniejsza wymiana zdań po prostu jej się nie przyśniła.

- Nic szczególnego - odparła, potrząsając głową. - Chcę pojechać do klubu „Blue Basement”.

- Czy to jakaś spelunka?

- Ależ nie. Bywałam tam często, gdy przyjechałam po studiach do San Antonio.

- Spodziewasz się, że znajdziesz tam Quinna? - spytał, kiwając w zamyśleniu głową.

- Albo kogoś ze znajomych, kto ma z nim kontakt.

- W takim razie chodźmy - odparł, wzruszając ramionami.

Klub mieścił się o parę przecznic od hotelu. Po drodze przekomarzali się, jakby nie byli wrogami, lecz starymi przyjaciółmi. Albo kochankami. To był naprawdę bardzo miły spacer.

Oboje mieli na sobie wieczorowe stroje, bo przebrali się wcześniej do kolacji. Rafe był w eleganckim garniturze podkreślającym jego muskularną budowę, a Shelley w krótkiej, powiewnej sukience, która wirowała wokół jej kolan. Stanowili razem piękną parę, co widać było po spojrzeniach mijających ich ludzi.

Wieczór był cudowny, ale miała nadzieję, że nie straci głowy z powodu Rafe'a. Wiedziała, że musi bardzo się postarać. W końcu nie miała dobrych doświadczeń z mężczyznami. A doświadczenie to najważniejsza rzecz w takich związkach. Kto raz się sparzył, ten na zimne dmucha, prawda?

Przed klubem stała duża grupa ludzi czekających na to, żeby wejść do środka. Ale bramkarz zerknął tylko raz i kazał im przejść na przód kolejki.

- Dlaczego my? - szepnęła Shelley do Rafe'a, widząc zazdrosne spojrzenia czekających obok.

- Może myśli, że jesteśmy jakimiś ważniakami - odparł ze śmiechem. Znów objął ją ramieniem i zajrzał jej w oczy.

- Albo że jesteśmy zakochani?

Słyszając te słowa, poczuła w sercu dreszcz. Rafe też był przejęty. Najwyraźniej sam nie mógł uwierzyć, że powiedział coś takiego. Przez dłuższą chwilę patrzyli na siebie z lekkim przerażeniem. Potem drzwi się otworzyły i weszli do środka.

W zadymionej sali panowała ciemność i musieli bardzo uważać, żeby na kogoś nie wpaść, idąc do stolika stojącego pod ścianą. Scena była wielkości pocztowego znaczka. Wysoka, chuda wokalistka ubrana w jedwabną suknię zaśpiewała kilka piosenek po francusku, pokładając się na fortepianie, po czym zniknęła przy skromnych brawach. Pianista odegrał awangardową kompozycję, w której rozpaczliwie brakowało melodii. Na koniec pojawił się młody człowiek z gitarą akustyczną i zagrał kilka świetnych utworów na hiszpańską nutę.

- Bardzo zróżnicowany repertuar, prawda? - stwierdził sucho Rafe. - Od subtelności do śmieszności i z powrotem.

- To był kiedyś zwykły klub jazzowy - powiedziała Shelley. - Większość ludzi przychodziła po to, żeby zobaczyć się ze znajomymi. Dziś chyba jest tak samo.

- Z pewnością - odparł, rozglądając się po mrocznej sali, w której ledwie można było dostrzec sylwetki ludzi siedzących przy stolikach. - Zauważyłaś kogoś ze znajomych?

- Nie - odparła, wytyczając wzrok.

Nagle spostrzegła, że Rafe wpatruje się w nią zbyt zachłannie.

- Co robisz? - spytała.

- Studiuje rysy twojej twarzy.

- Po co?

Położył rękę na piersi jak do przysięgi, robiąc poważną minę, choć w jego oczach migotały iskierki.

- Chcę zachować twój obraz w sercu. Kiedy spotkam jakąś piękną kobietę, przypomnę sobie twoją twarz i zdecyduję, czy ta dama dorównuje wzorcowi urody.

Ten komplement speszył ją, ale oczywiście i zachwycił. Czy Rafe chciał ją sprytnie podejść, czy też po prostu starał się być miły?

- Jeśli nie przestaniesz ze mnie kpić, to zaraz stąd wyjdę - oświadczyła stanowczo.

- Dlaczego myślisz, że z ciebie kpię? - spytał wyraźnie zszokowany jej reakcją.

- A nie jest tak?

- O Boże! Nie.

Najśmieszniejsze było to, że przez chwilę mu wierzyła.

- Zatańczmy - zaproponował.

Zmarszczyła brwi, kurczowo ściskając w ręku kieliszek, jakby to mogło uchronić ją przed pokusą, której nie chciała ulec.

- Sama nie wiem. Tam jest straszny tłok.

- Nie szkodzi. - Ujął jej dłoń i ucałował palce. - Będę mógł cię lepiej przytulić, moja droga.

Uśmiechnęła się, patrząc mu w oczy, i powoli podniosła się z krzesła.

- Mówisz jak wielki zły wilk - stwierdziła. - To mnie niepokoi.

- Nie ma powodu - zapewnił, obejmując ją i kołysząc się w takt muzyki. - Jestem bardzo dobrym wilkiem.

Z całą pewnością. Zamknęła oczy, czując, jak ciepło jego ciała przenika ją do głębi. Co za rozkosz! Jak cudownie byłoby zakochać się w takim mężczyźnie! Przez krótką chwilę pozwoliła sobie marzyć.

Potem jednak momentalnie otrzeźwiała. Jeśli chce być silna i nie popełniać głupstw, powinna zapomnieć o marzeniach. Pozbyć się wszelkich sentymentów i myśleć tylko o interesach. Nie dać się zwieść swemu sercu, co mogłoby narazić ją na niebezpieczeństwo.

Tylko jak ma trzymać swe uczucia na wodzy? Rozmowa. Trzeba o czymś rozmawiać. Ale o czym, skoro myśli tylko, jak cudownie być w objęciach Rafe'a. Stopniowo jednak wracała do równowagi. Przecież nie znajdują się w próżni. W hotelu dzieją się teraz ważne rzeczy związane z pracą, w które oboje powinni być zaangażowani.

- Czuję się winna, że tu jestem, podczas gdy reszta zespołu haruje, szykując plakaty i film na konkurs - powiedziała dziwnie ochryplym głosem.

- Lekceważysz jedną z podstawowych zasad zarządzania - oświadczył, kręcąc głową. - Nigdy nie pozwól podwładnym wprawiać cię w zakłopotanie.

- O! - zdziwiła się. - Czy to jest twoja dewiza?

Rafe się skrzywił.

- Niezupełnie. Ale może powinnaś ją teraz zastosować.

- I być apodyktyczną i arogancką szefową?

- Dlaczego nie? - odparł, wzruszając ramionami. - To nie zjedna ci sympatii, ale przyniesie bardzo dobre wyniki.

Chętnie podyskutowałaby na temat jego filozofii zarządzania, lecz właśnie rozpoznała koleżankę siedzącą przy stoliku w drugim końcu sali.

- Ojej! - zawołała. - To Lindy. Znam tych dwóch chłopaków, którzy z nią siedzą, choć nie pamiętam ich imion. Udało się! Tak się cieszę.

- Świetnie. Wobec tego chodźmy się przywitać.

Ruszyli przez salę, klucząc między malutkimi stolikami.

Rafe przez cały czas trzymał ją za rękę. To było takie miłe, podobnie jak całe jego zachowanie tego wieczoru.

Kiedy zbliżyli się do stolika, Shelley uśmiechnęła się do mocno zbudowanej dziewczyny o czarnych, równo przyciętych włosach i dwóch młodych mężczyzn z długimi kucykami i brodami.

- Cześć! Poznajecie mnie? Shelley Sinclair.

- Shelley! - Lindy poderwała się, żeby ją uściskać. - Kopę lat! Pamiętasz Henry'ego i Grega, prawda? - dodała, wskazując na swych towarzyszy.

- Oczywiście. - Shelley kiwnęła do nich głową. - To mój przyjaciel Rafe Allman. Możemy się na chwilę przysiąść?

Lindy uśmiechnęła się zachęcająco, ale dwaj mężczyźni wyraźnie wypili już za dużo i nie starali się zrobić dobrej miny. Rafe przysunął dodatkowe dwa krzesła do stolika i usiedli.

- A więc przyjaźniliście się, kiedy Shelley mieszkała tu w San Antonio? - nawiązał rozmowę Rafe.

- O, tak - powiedział Greg, unosząc wysoko szklanekę bursztynowego płynu i wpatrując się w migoczące światełka. - Bardzo się przyjaźniliśmy. Chodziliśmy wszędzie razem. Pamiętasz, Shelley?

Otworzyła usta, żeby to potwierdzić, ale Greg nie czekał na odpowiedź.

- Dopóki nie poznała swoich wytwornych znajomych i nie doszła do wniosku, że jest dla nas za dobra. - Greg odstawił szklanekę i uśmiechnął się szyderczo. - Nagle zaczęła rozbijać się limuzynami i tak dalej. Machała do nas przez okno, jakby była królową Anglii.

- Tak - przyznał ze smutkiem Henry. - Kim był ten człowiek, z którym mieszkałaś w eleganckim wieżowcu? To był twój szef?

Shelley cieszyła się, że na sali jest ciemno, bo nikt nie mógł zobaczyć, że zrobiła się czerwona.

- Nieważne - wtrąciła Lindy, kopiąc go pod stołem. - Cieszymy się, że jesteś z nami, Shelley. Co u ciebie słychać?

Rozmawiały przez chwilę, zanim Shelley zdradziła powód swej wizyty.

- Czy ktoś z was ma jeszcze jakikolwiek kontakt z Quinnem Hagarem?

Czy jej się zdawało, czy znad stolika powiało chłodem?

- Czasem go widuję - wyznała w końcu Lindy. - A co?



- Muszę go znaleźć. Chciałam się dowiedzieć o jego siostrę Penny.

Mieszkałam razem z nią na studiach, a teraz chcę ją odszukać.

Przy stoliku zapanowała dziwna cisza. Shelley wydawało się, że dawni znajomi coś przed nią ukrywają.

- Jeśli ktoś z was zobaczy wkrótce Quinna, powiedzcie mu, że chcę z nim porozmawiać, dobrze? - Shelley podała adres swojego hotelu i numer pokoju.

Nikt się nie odezwał, a Lindy miała zakłopotaną minę. Shelley była pewna, że ona coś wie. Czy powinna zataić, o co jej naprawdę chodzi, czy też wyłożyć karty na stół? Było tak mało czasu, że po prostu nie miała wyboru.

- Czy ktoś z was zna Penny?

Henry zmarszczył brwi, zaglądając do szklanki, a Greg wpatrzył się w przestrzeń. Lindy zerknęła na nich ukradkiem, a potem odwróciła się do Shelley.

- Spotkałam ją parę razy - powiedziała. - To bardzo miła dziewczyna.

- O, tak - zgodziła się Shelley. - Fantastyczna. Świetnie się nam mieszkało razem na studiach.

- Chcesz ją odnaleźć?

- Tak. Wiesz może, co ona teraz robi?

Lindy oblizła nerwowo wargi, potrząsając głową.

- Niezupełnie - odparła wykrętnie.

- Szkoda. Podobno ma dziecko. Wiesz coś o tym?

Lindy podniosła głowę ze zdziwieniem.

- Nie. Nigdy o tym nie słyszałam.

Jej reakcja na ostatnie pytanie była całkiem naturalna, co tym bardziej podważało szczerłość jej poprzednich odpowiedzi. Było oczywiste, że nikt nie chce zdradzić całej prawdy.

- Wczoraj spotkałam Rickie Mason - powiedziała Shelley. - W „Chuy's Café”, gdzie zawsze przychodziliśmy w sobotę na śniadanie. Pamiętacie? Dała mi adres Quinna. Pojechałam tam dzisiaj, ale on uciekł na mój widok. - Shelley potrząsnęła głową. - Nie mogę w to uwierzyć, bo kiedyś przecież byliśmy przyjaciółmi. Nie wiecie, dlaczego tak się zachował?

Spoglądała kolejno po ich twarzach, aż zaczęli się niespokojnie kręcić.

W końcu Greg wzruszył ramionami i zerknął na nią.

- Może myślisz, że chcesz od niego jakieś pieniądze.

- Dlaczego miałby tak myśleć? - spytała zaskoczona.

- Dlatego że wszyscy wciąż żądają od niego pieniędzy - wyjaśnił Henry. - Quinn ma ostatnio... - Urwał, bo język mu się plątał z powodu nadmiernej ilości wypitego alkoholu. - ...pro-ble-my fi-nan-so-we. - Był zadowolony, że udało mu się wysłować. - Narobił długów i podobno chłopaki chcą go dopaść - dodał znacząco.

- W takim razie - wtrącił łagodnie Rafe - powiedzcie mu, że jeśli skontaktuje się z Shelley, to dostanie pieniądze.

- Tak. Będę wdzięczna, jeśli mu to powtórzycie - potwierdziła, patrząc z wdzięcznością na Rafe'a.

Lindy musiała coś wiedzieć, bo unikała spojrzenia Shelley. Po chwili, gdy nie było już nadziei, że jednak się odezwie, pożegnali się i wrócili do swego stolika. Rafe zamówił znów drinki i przez kilka minut siedzieli w milczeniu.

Wreszcie mocno uścisnął jej dłoń.

- A więc mieszkałaś z Jasonem McLaughlinem? Nie przejmuj się.

- Dlaczego myślisz, że się tym przejmuję? - spytała z wymuszonym uśmiechem.

- Bo widziałem, jaką zrobiłaś minę, kiedy ten facet o tym wspomniał. To nie jest ważne.

Shelley wzięła głęboki oddech, a potem powoli wypuściła powietrze.

- Mylisz się. To jest bardzo ważne. - Spojrzała na Rafe'a, zastanawiając się, czy potrafi ją zrozumieć. - To jeden z największych błędów, jakie popełniłam w życiu.

- Nie ty jedna popełniasz błędy - powiedział, uśmiechając się wyrozumiale. - W młodości wszyscy uczymy się na błędach.

- Ale moje były beznadziejnie głupie - odparła, krzywiąc się.

Rafe przez chwilę milczał, a potem pochylił się ku niej.

- Posłuchaj, Shelley. O ile pamiętam, nie miałaś w dzieciństwie łatwego życia. Twoja matka sama prowadziła kawiarnię. Nie miała czasu zajmować się twoimi sprawami.

- Wiem - odparła, czując, że zbiera jej się na płacz. - Moja biedna matka. Rafe bawił się jej palcami.

- Nie czujesz do niej żalu?

- Do matki? - spytała, patrząc na niego ze zdziwieniem. - O Boże, nie. Tak ciężko pracowała. To nie jej wina, że ojciec od nas odszedł.

Rafe skinął głową.

- Poza tym - dodała, czując nagłą potrzebę zwierzenia się z sekretu, który ciążył jej na sercu - sprawiłam jej przykrość, przebywając ciągle u was.

- Nie rozumiem - odparł, nagle poważniejąc.

Shelley wzruszyła ramionami, żałując, że w ogóle o tym wspomniała. Po co było rozdrapywać stare rany?

- Chyba wydawało jej się, że wolę was od niej. Pamiętam, że któregoś wieczoru, kiedy jeszcze chodziłam do szkoły średniej, rozplakała się. Mówiła, że odrzuciłam jej miłość i wybrałam sobie nową rodzinę - Allmanów. Właś-

ciwie nie mogłam temu zaprzeczyć. - Jej głos zadrżał i zamknęła na chwilę oczy. - Wiem, że to ją bardzo bolało. Ale taka była prawda.

- Pamiętam, że wciąż się u nas kręciłaś - przyznał. - Kiedyś nawet, jak byłem zły na ciebie, spytałem ojca, czy już cię adoptował.

- Byłeś na mnie zły? - spytała ze łzami w oczach. - To niemożliwe.

Byłam takim aniołkiem.

- Naprawdę? W takim razie musiałem cię pomylić z jakąś inną Shelley Sinclair, która praktycznie mieszkała w naszym domu.

- Na pewno.

Kiedy uśmiechnął się do niej, od razu poczuła się różnie. Jego uśmiech zawsze działał na nią tak kojąco.

- Czy ta szczerą rozmowa z matką coś wtedy pomogła? - spytał.

Shelley skinęła głową.

- W pewnym sensie tak. Staralam się, żeby matka wiedziała, ile dla mnie znaczy. Ale i tak uciekłam z Chivaree najszybciej, jak tylko mogłam - dodała, uśmiechając się żałośnie.

Rafe splótł jej palce ze swoimi.

- A teraz?

- Teraz?

- Mieszkacie razem, prawda?

- Tak. I pomagam jej, jak tylko mogę, w kawiarni. - Shelley westchnęła. - Staram się, żeby trochę odpoczęła. Chciałabym zarabiać tyle pieniędzy, aby matka mogła przestać pracować i prowadzić spokojne życie. Teraz ja powinnam się nią zająć.

- Jesteś dobrą córką - powiedział, ściskając jej palce.

- Tak myślisz? Nie jestem pewna.

Kiedy znów tańczyli, Shelley zauważyła, że Lindy i jej towarzysze zniknęli. Rozejrzała się po salce, ale nie dostrzegła już nikogo ze znajomych.

Wkrótce potem wyszli. Tłum na ulicy przerzedził się, a powietrze było ciepłe i przyjemne. Lekki wietrzyk powiewał znad pustyni. Nie mieli wcale ochoty wracać do hotelu. Stanęli pod drzewami, rozmawiając o różnych drobiazgach, ale potem Rafe nagle spoważniał.

- Powiesz mi, o co w tym wszystkim naprawdę chodzi? O dziecko?

Shelley spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Och! Tak. Penny urodziła dziecko.

- Rozumiem. - Przez chwilę milczał, a potem spytał: - A więc o to ci naprawdę chodzi, tak?

- Tak.

Odczekał chwilę, a ponieważ Shelley się nie odzywała, spojrzał na nią zirytowany.

- Przestań, Shelley. Czy muszę wyciągać z ciebie każde słowo? Chyba możesz mi zaufać.

Westchnęła, czując, że nie ma sensu ukrywać dłużej tajemnicy. Rzeczywiście mogła mu zaufać. Choć jeszcze wczoraj czy przedwczoraj byłaby innego zdania. Ale teraz, gdy dłużej przebywali z sobą, nabrała do niego zaufania.

- Dobrze. Opowiem ci wszystko.

Z wyjątkiem jednego szczegółu, którego nie miała prawa zdradzić. Nie mogła mu powiedzieć, że robi to wszystko dla jego własnego brata.

- Mój przyjaciel - od którego to wszystko się zaczęło - dowiedział się niedawno, że jego dawna dziewczyna Penny Hagar wkrótce po ich rozstaniu urodziła dziecko. Nie wiedział przedtem, że ona jest w ciąży. Domyśla się, że to jego dziecko, i chce się dowiedzieć, co się naprawdę stało. Ta sprawa go

bardzo dręczy. Czuje się odpowiedzialny i chce zaofiarować pomoc, zwłaszcza jeśli Penny ma jakieś problemy.

Rafe słuchał w milczeniu, kiwając tylko głową.

- Dobrze - powiedział w końcu - teraz, gdy znam już konkrety, może uda mi się lepiej pomóc. Powiedz, kim jest ten mężczyzna?

Dlaczego musiał o to spytać? Shelley potrząsnęła tylko głową.

- Nie mogę tego zrobić.

- No, dobrze - odparł, krzywiąc się. - Ale kiedy to wyjdzie na jaw - a wiesz, że prędzej czy później tak się stanie - nie będzie ci głupio wobec mnie?

Shelley już miała na ustach odpowiedź, lecz nagle się powstrzymała.

- O, nie! Chcesz mnie nabrać. Zmuszasz mnie do rozmowy po to, żeby poskładać sobie fakty i domyślić się, o kogo chodzi, prawda? - Ze złości odwróciła głowę w bok. - Nie. Nie powiem już na ten temat ani słowa.

- Shelley, Shelley, nie bądź taka podejrzliwa. Chcę ci po prostu pomóc.

Z uporem wpatrywała się w mrok.

- Jaki masz teraz plan, żeby znaleźć Quinna? - spytał.

- Wierzę - odparła, wzdychając ciężko - że skusi go perspektywa otrzymania pieniędzy. To był świetny pomysł.

- Mam dużo świetnych pomysłów.

- Na pewno.

Uśmiechnął się, i ona także.

- Bardzo pragnę cię pocałować - powiedział, kładąc ręce na jej ramionach i zagładając w oczy.

Oddech uwiązał jej w krtani, ale starała się zachować spokój. Jednym ruchem odrzuciła do tyłu włosy.

- Już to zrobiłeś.

- Pocałunek to nie jest coś, co robi się tylko raz - odparł nieco speszony. - To nie wspinaczka na Mount Everest czy skok ze spadochronem. To, że cię raz pocałowałem, nie znaczy, że już nigdy nie zechcę tego powtórzyć.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł - powiedziała, spoglądając w bok.

- Rozumiem. - Zmrużył oczy, zastanawiając się przez chwilę. - Uważasz, że to jest cel, po osiągnięciu którego można spocząć na laurach - zauważył filozoficznie. - A ja uważam - dodał, zniżając głos i obracając jej twarz ku sobie - że to pierwszy krok na drodze do czegoś bardzo ważnego.

Dziwny wyraz jego oczu sprawił, że zabiło jej mocniej serce. Jak cudownie byłoby znaleźć się w jego ramionach!

- Skoro wcale się nie zgadzamy - odparła szybko, odsuwając się od niego - myślę, że powinniśmy zakończyć ten wieczór.

Odwróciła się, ruszając w kierunku wejścia. Rafe szybko otworzył przed nią drzwi.

- Czy to byłoby takie okropne? - spytał cicho.

Byli już przy windzie, gdy Shelley wzięła głęboki oddech i odwróciła głowę w jego stronę.

- Nie okropne, ale raczej niestosowne - powiedziała, rozglądając się bacznie, czy nikt ich nie słyszy.

- Dlaczego? - spytał, marszcząc brwi.

- Jestem twoją szefową. Nie mogę cię wykorzystywać w ten sposób.

Rafe odrzucił do tyłu głowę i wybuchnął śmiechem. Jednak po chwili spojrzał na nią z szacunkiem.

Dlaczego tak ją to ucieszyło? Czy nie najważniejsze było to, że podobała mu się jako kobieta? A może to stanowiło gwarancję, że ich znajomość nie zakończy się nieprzyjemnym zgrzytem.

- Czy to znaczy - spytał, gdy wsiadali już do windy - że muszę czekać do poniedziałku, żeby móc zbliżyć się do ciebie w tak niewinny sposób?

- Hm! - Przez chwilę udawała, że się zastanawia. Potem zmarszczyła brwi, wysiadając z windy, i szybkim krokiem ruszyła do swojego pokoju. - Nie. Przykro mi, ale to też jest niemożliwe.

Wyjęła z kieszeni kartę elektroniczną i przesunęła ją przez otwór w drzwiach.

- W poniedziałek role się odwrócą, i to ty byś mnie wykorzystywał.

Kiedy drzwi się otworzyły, odwróciła głowę i uśmiechnęła się do niego szelmowsko.

Rafe miał speszoną minę.

- Wiesz co? - powiedział. - To tylko wykręt z twojej strony. Nie lubisz się całować.

Roześmiała mu się prosto w twarz, przymykając drzwi.

- A skąd pan wie, drogi panie? - parsknęła przez szczelinę.



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Rafe kołysał się na krześle, obserwując, jak przebiega próba skeczu. Musiał przyznać, że za każdym razem wypadło to sprawniej. Wciąż uważał, że jego pomysł był lepszy, ale pogodził się już z faktem, że pomysł Shelley też jest dobry.

A teraz jeszcze musiał przyznać, że wszystko w niej mu się podoba. Dokładnie wszystko.

Z uśmiechem patrzył, jak prowadzi próbę skeczu. Shelley była urodzoną liderką. To dobrze, że ten konkurs dał jej szansę pokazać, jak świetnie potrafi kierować ludźmi i motywować ich do pracy. Ile czasu musiałoby minąć, zanim szefostwo Allman Industries zorientowałoby się, jakie Shelley ma zalety, gdyby nie taka okazja? Koniecznie musi znaleźć jej odpowiednie stanowisko, gdy wróca w poniedziałek do firmy.

- Hej, skarbie! - powiedział cicho, gdy przechodziła obok niego po rekwizyty - Muszę ci coś powiedzieć.

Spojrzała na niego rozpromienionym wzrokiem, robiąc bardzo poważną minę.

- Jeśli znów coś o całowaniu, to nie chcę tego słyszeć.

- Nie - odparł z uśmiechem. - O tym porozmawiamy później, kiedy zostaniemy sami.

- Rafe!

- Teraz chciałem ci tylko powiedzieć, że Matt zadzwonił do mnie kilka minut temu. Tata bardzo się denerwuje tym konkursem i kazał mu tu przyjechać. Będzie jutro.

- Och! - jęknęła, osuwając się na sąsiednie krzesło. - Tak mi przykro, Rafe.

Spojrzał na nią obojętnie, zastanawiając się, dlaczego tak nagle mu współczuje.

- Nie ma powodu się martwić. Matt nie może być członkiem zespołu, ale niewykluczone, że udzieli nam jakichś wskazówek. Będzie miał świeże spojrzenie.

- Dobrze - odparła, prostując się na krześle. - To znaczy, że się z tego cieszysz?

- Dlaczego nie? Matt może nam bardzo pomóc - powiedział, przyglądając się jej z ciekawością. - Myślałem, że ty i on jesteście przyjaciółmi.

- To prawda. Ale... twój ojciec zawsze stara się wysunąć go na pierwszy plan. Pomyślałam, że...

A więc o to chodziło. Rafe jęknął w duchu. Powinien był się domyślić, że Shelley uparcie trzyma się swej teorii, że wszystko, co on robi, jest podyktowane tym, że ojciec faworyzuje jego brata.

Musiał przyznać, że było w tym źdźbło prawdy. Czy nie rzutowało to na jego stosunki z Mattem? Nie miał jednak ochoty teraz się nad tym zastanawiać.

- Nie jestem zazdrosny o brata, Shelley - powiedział bez przekonania.

- Na pewno?

- Tak - roześmiał się z przymusem. - Przemyślałem to - dodał, biorąc ją za rękę. - Hej, miło mi, że się o mnie troszczysz, ale to zbyteczne. Matt jest w porządku. Nigdy nie było inaczej. Nie musisz się martwić.

Shelley wyraźnie chciała kontynuować dyskusję. Ach, te kobiety! Wiecznie szukałyby motywów. Musi nauczyć ją żyć bardziej chwilą. Więcej relaksu, mniej stresu. Ale najpierw powinien nauczyć się tego sam.

- O której on przyjeżdża? - spytała, rezygnując z dalszych dociekań.

- Podobno rano.

Shelley skrzywiła się z przerażenia.

- O Boże! Nie rozmawiałam jeszcze z Quinnem!

Rafe zamrugał, nic nie rozumiejąc.

- Co to ma wspólnego z przyjazdem Matta?

- Nic, nic - wyjąkała. - Chciałam powiedzieć, że przez cały dzień będę zajęta. Chodź, leniuchu - dodała, podnosząc się szybko z krzesła. - Musimy popracować przed lunchem. Trzeba koniecznie skrócić nasz film.

Potem zajęła się szykowaniem nowych rekwizytów. Postawiła lustro na sztalugach i cofnęła się, spoglądając na efekt.

- Film jest fantastyczny, ale nie mamy czasu na to, żeby pokazać go w całości. Na cały program jest tylko siedem minut. Trzeba będzie zrezygnować z wielu rzeczy.

Uśmiechnęła się przelotnie do Rafe'a, po czym znów zajęła się ustawianiem lustra i sprawdzaniem, jak prezentuje się ono od strony publiczności.

- To nie będzie łatwe. Musimy ciąć bezlitośnie. - Przechyliła głowę, przyglądając się, jak wygląda lustro pod innym kątem.

- Chwileczkę, szefowo! - zawołał, idąc za nią. - Redagowanie filmów nie wchodzi w zakres moich obowiązków. Nie jestem odpowiednio przeszkolony. Chyba nie powinienem tego robić.

Shelley spojrzała na niego zirytowana, a potem postukała go ołówkiem po ramieniu.

- Zredaguj film - rzuciła sucho - albo złóż wymówienie. Jedno lub drugie. Wybór należy do ciebie.

Rafe nachmurzył się, krzyżując ręce na piersiach.

- Dyktatorka - wymamrotał.

Shelley się uśmiechnęła, ale za chwilę znów miała minę szefowej.

- Oto taśma. Cały potrzebny sprzęt znajdziesz w centrum audiowizualnym. Szkoda czasu, idź już.

Rafe zawahał się przez chwilę. Ich stosunki chyba się poprawiły. Shelley była w dobrym humorze. Może warto sprawdzić, czy nie zgodziłaby się jednak na jego pomysł. Był tak świetny, że na pewno wygraliby konkurs. Pragnienie zwycięstwa nie opuszczało go ani na chwilę. Teraz miał ostatnią okazję, żeby ją przekonać.

- Chyba nie jest jeszcze za późno, żeby wykorzystać mój pomysł w konkursie - powiedział. - Nie potrzebowalibyśmy dużo rekwizytów, a poza tym opracowałem już...

W jej oczach błysnął ogień.

- Dlaczego nie chcesz przyjąć do wiadomości wyników głosowania? - spytała ostro. - Realizujemy mój pomysł. Jeśli naprawdę zależy ci na wygranej, weź się do pracy i nie przeszkadzaj.

Odwróciła się, biorąc nożyczki, i zaczęła wycinać z papieru dekoracje, dając do zrozumienia, że dyskusja jest skończona.

Rafe spojrział na swoje odbicie w lustrze umieszczonym na sztalugach.

Ona ma rację, usłyszał.

Oczywiście, mruknął w duchu. Wiedział o tym. Wziął taśmę, po raz ostatni zerknął pożądlivie na Shelley, która udała, że nic nie dostrzega, i ruszył do pracy. Dobrze wiedział, że cierpliwość szefowej jest na wyczerpaniu.

Pracowali bez wytchnienia, a Shelley była coraz bardziej zdenerwowana. Na samym początku nie zależało jej na tym, żeby wygrać konkurs. Oczywiście chciała wypaść dobrze, żeby nikt nie musiał się za nią wstydzić, ale wygrać? Po co?

Jednak tak było, zanim się zorientowała, jak bardzo zależy Rafe'owi na wygranej. Wiedziała, że Rafe chce coś udowodnić ojcu i zwycięstwo jest dla niego bardzo ważne. A to, co było ważne dla niego, teraz stało się ważne także dla niej. Była świadkiem, jak ojciec na każdym kroku w dzieciństwie go ignorował. Hołubił tylko Matta, a teraz chciał powierzyć mu zarządzanie firmą, choć Rafe bardziej nadawał się do tej pracy. W dodatku, jak na ironię, Matt wcale się do tego nie palił.

Dlatego w tej chwili zależało jej na wygranej. Musieli zdobyć pierwsze miejsce choćby ze względu na Rafe'a. Po pierwsze chciała mu udowodnić, że jej pomysł odniesie sukces, a po drugie po prostu chciała, żeby się ucieszył.

Za to ona sama martwiła się, czy w ciągu kilku godzin, które zostały do rozpoczęcia konkursu, zdążą skończyć pracę. W dodatku nie dostali jeszcze firmowych koszulek Allman Industries, w których mieli wystartować.

Wszystkie zespoły musiały włożyć kolorowe koszulki reklamujące ich firmy. Takie były warunki udziału w konkursie. Bez koszulek groziła im nawet dyskwalifikacja. Mimo tych trudności cały zespół pracował w pocie czoła i Shelley była zadowolona z postępów.

Od czasu do czasu ktoś z członków komisji zaglądał im przez ramię, żeby sprawdzić, jak uczestnicy konkursu radzą sobie z zamianą ról stanowiącą motto konkursu. Trzeba było to niestety tolerować, choć czasem wywoływało irytację.

Mimo wszystko udział w konkursie stanowił niezłą zabawę. Shelley zdążyła już zapomnieć, jak cierpła jej skóra na myśl o współpracy z Rafe'em. Nie we wszystkim się zgadzali, ale jego obecność w jej życiu stawała się coraz bardziej ważna.

Shelley wciąż jeszcze nie skontaktowała się z Quinnem, choć rano przez pół godziny wydzwaniała pod wszystkie możliwe numery telefonów. Na

szczęście nie spotkała po raz drugi Jasona McLaughlina. Prawdę mówiąc, zdążyła zapomnieć, że on tu w ogóle jest. To była duża zmiana w porównaniu z tym, że kiedyś stanowił jej obsesję.

Praca nad konkursem przyniosła jej także niespodziewaną korzyść. Shelley odkryła, że potrafi świetnie organizować pracę, a zespół bez problemu spełnia jej polecenia, wyczuwając, że nowa szefowa dokładnie wie, co robi. Gdyby tak było zawsze! Przecież zostało tyle rzeczy do skoordynowania.

Zespół spisywał się bez zarzutu, choć kilka osób wybrało się na nocny rajd po klubach. Podobno najlepiej bawiła się mała Dorie, ale Shelley nie знаła żadnych szczegółów, bo wszyscy milkli, gdy tylko zbliżała się do nich. Nie mogła jednak mieć o to pretensji, bo przecież sama wczoraj wieczorem też poszła do klubu. Nic złego się jednak nie stało, skoro rano wszyscy punktualnie stawili się do pracy.

W sumie wszystko układało się całkiem dobrze, lecz doświadczenie podpowiadało jej, że lada moment może nastąpić kryzys.

Rafe nie wrócił jeszcze ze zredagowaną taśmą, gdy Candy odebrała telefon, po czym uniosła triumfalnie pięść i wrzasnęła:

- Są koszulki! Trzeba zaraz odebrać je w recepcji!
- Jak to dobrze! - ucieszyła się Shelley.

Może to był znak, że wszystko jednak zakończy się bez wpadki.

- Tak bym chciała już je zobaczyć! - pisnęła Dorie.

Shelley uśmiechnęła się, zdejmując gumowe rękawiczki, w których kleiła wywieszki.

- Zaraz je przyniosę - powiedziała.

Wsiadła do windy, żeby zjechać na parter. Kiedy szła do recepcji, ktoś nagle zawołał ją po imieniu.

- Jason! - wykrzyknęła zaskoczona.

Zanim zdążyła się zorientować, złapał ją za ramię i pociągnął do bocznej wnęki.

- Shelley, Shelley - zamruczał kusząco, spoglądając na nią spod półprzymkniętych powiek. - Czekałem na tę chwilę, kiedy będziemy sami. Musimy porozmawiać.

Spojrzała na niego gniewnie, trzęsąc się z odrazy.

- Spieszę się, Jason. Przyszły wreszcie nasze koszulki, które zostały wysłane do innego hotelu, więc muszę je natychmiast zabrać i...

- Chodź, Shelley, skarbie - powiedział, pocierając jej ramię. - Ucieknijmy na chwilę od tego wyścigu szczurów, żeby porozmawiać o starych czasach. Przywołać dawne wspomnienia i powtórzyć to, co było - dodał, unosząc znacząco brew.

Shelley przyjrzała mu się uważnie. Był wciąż atrakcyjnym mężczyzną, ale z wiekiem stawał się obleśny. I to zimne, wyrachowane spojrzenie jego oczu. Czy to możliwe, że wcześniej tego nie dostrzegła? Pomyślała o Rafie, który spoglądał na nią tak ciepło i serdecznie.

- To ostatnia rzecz, na którą miałabym ochotę, Jason. Dawno temu powiedzieliśmy już sobie wszystko.

Próbowała się odsunąć, ale on jeszcze mocniej ścisnął jej ramię.

- Wiesz, że wciąż między nami iskrzy. Czy to cię do mnie nie ciągnie?

Jak mogła uwielbiać go tak ślepo przez całe lata? Chyba była szalona. I bardzo, bardzo głupia.

- Iskry nie ciągną, bo nie mają rąk - odparła kwaśno, traktując dosłownie jego wywody po to, żeby go rozzłościć.

- Co? - spytał, wpatrując się w nią tępo.

Shelley westchnęła ze zniecierpliwienia.

- Nie, Jason. To nie iskry. Po prostu tylko gryzie cię sumienie, że sprawiłeś mi kiedyś wielką przykrość.

Był tak zszokowany jej reakcją, jakby nikt nigdy nie odrzucił jego zalotów.

- Posłuchaj, skarbie, to nie była moja wina. Gdybyś zaczekała parę tygodni, pozbyłbym się Frances i...

Mówił, że rozstanie się z żoną, by odzyskać dawną kochankę. Ten mężczyzna był łajdakiem. A ona kim była, skoro kiedyś mu ufała? Miała ochotę wziąć ciepły prysznic i zmyć z siebie cały ten brud.

- Puść mnie, Jason - powiedziała spokojnie.

Uścisk jego dłoni stawał się bolesny. Rozejrzała się, szukając pomocy. Jeśli to się za chwilę nie skończy, to chyba zaczniesz krzyczeć.

- To nie jest zabawne.

- Daj spokój, Shelley - odpowiedział gładko. - Nie jesteś rozsądna. Musisz mnie posłuchać.

Próbowała mu się wyrwać, ale Jason był silniejszy.

- Jeśli zaraz mnie nie puścisz...

Czyjaś ręka chwyciła go w nadgarstku i natychmiast uwolnił jej ramię.

- Co jest?! - zawołał, odskakując w tył.

- Jeszcze raz jej dotknij, i skreć ci kark.

Shelley patrzyła z zapartym tchem. Wszystko stało się tak szybko. Rafe ją uratował.

- Wiesz - rzucił z pogardą Jason, rozcierając nadgarstek - wy Allmanowie powinniście nauczyć się zachowywać w cywilizowanym świecie.

- Jeśli wy McLaughlinowie jesteście wytworem cywilizowanego społeczeństwa - odparował Rafe - to wolę się trzymać swoich prostych zasad. I



nie potrzebuję twoich lekcji etykiety. Shelley też nie - dodał, obejmując ją ramieniem.

- O! - rzucił z sarkazmem Jason. - Mówisz teraz za nią?

- Tak - oświadczyła głośno Shelley. - Rafe może mówić za mnie, kiedy zechce.

Jason zrobił głupią minę i wzruszył ramionami, jakby było mu to obojętne.

- Zobaczymy, jak będziecie się czuli jutro po konkursie - rzucił, uśmiechając się złośliwie.

Potem odwrócił się i zniknął za rogiem.

- Co on miał na myśli? - spytał Rafe.

- Kto wie? - odparła, potrząsając głową, po czym uśmiechnęła się i bez wahania zarzuciła mu ręce na szyję.

- Tak się cieszę, że przyszedłeś. Dziękuję, bardzo ci dziękuję.

- Zawsze do usług - odpowiedział, ściskając ją bezwiednie. - Powiedz, co się stało?

- Jason mnie napadł, kiedy szłam po koszulki. To wszystko.

Rafe wpatrywał się uważnie w jej twarz, szukając odpowiedzi.

- No i co? - spytał cicho. - Wciąż go kochasz?

- Nie, Rafe - zaprzeczyła. - Wcale nie. Przysięgam.

Chociaż chciał, nie mógł jej uwierzyć.

- W takim razie skąd ta twoja reakcja? - spytał bardzo ostrożnie.

Reakcja? Przez chwilę nie wiedziała, o czym on mówi. Przecież czuła do Jasona wstręt. Ale może nie chodziło mu o dzisiejszy dzień, tylko miał na myśli to, co kiedyś się zdarzyło.

- Po prostu... - wyjąkała, oblizując wyschnięte wargi - nie da się wymazać przeszłości, nie sądzisz?

Wpatrywał się w nią, czekając na wyjaśnienia.

- Jason był dla mnie kiedyś bardzo ważny. Nie mogę udawać, że było inaczej. Nie uwierzyłbyś, jak się w nim kochałam, kiedy byłam w szkole średniej. To była prawdziwa obsesja. Kiedy przyjechałam do San Antonio i dostałam pracę w jego firmie, byłam najszczęśliwsza na świecie.

Ojej! Czy powinna mu o tym wszystkim opowiadać?

Rafe słuchał, choć jej słowa sprawiały mu ból.

A więc Shelley zaczęła spotykać się ze swoim ukochanym. No to co? On przecież też miał różne dziewczyny. Robiła to samo co one. Nie pamiętał nawet dobrze tych dziewczyn. Czy to w ogóle miało teraz dla niego jakieś znaczenie? Prawdę mówiąc, do tej pory zastanawiał się, czy potrafi się zakochać. Jeszcze nigdy mu się to nie zdarzyło. Ale teraz? Teraz chciał być z Shelley.

Jak to możliwe, że potrafiła zawrócić mu w głowie jak żadna inna kobieta? Słuchał jej wyjaśnień, choć to nie było wcale przyjemne.

- Bardzo żałuję, że kiedyś byłam z Jasonem - powiedziała, pragnąc już skończyć ten temat. - Bardzo szybko okazało się, że to błąd. Uświadomiłam sobie, że on nie jest wart żadnych uczuć. Teraz po prostu go nie znoszę. Mam nadzieję, że więcej go nie spotkam.

- No tak - odparł Rafe, ponuro kiwając głową. - Dziękuję ci za szczerość, Shelley. A teraz - dodał, uśmiechając się niemrawo - chodźmy po te koszulki, które miałem ci pomóc przynieść.

Wzięła go pod rękę i ruszyli do recepcji. Dlaczego Rafe bez przekonania słuchał jej wyjaśnień? Co zrobić, żeby uwierzył, że powiedziała prawdę?

Koszulki były wspaniałe. Jasnoniebieskie, z doskonałego gatunku bawełny, miały logo Allman Industries na kieszonce i zdjęcie winiarni z tyłu.

Wszyscy znaleźli odpowiednie dla siebie rozmiary. Potem przeglądali się w wielkim lustrze, podziwiając efekt. Wyglądali jak prawdziwy zespół.

- Ojej! - krzyknęła Shelley, spoglądając na zegarek. - Powinniśmy teraz iść na lunch, ale nie mamy czasu.

- Nie martw się - odparł Rafe. - Zamówimy pizzę i nie będziemy musieli stąd wychodzić.

- Och, uratowałeś mi życie! To świetny pomysł. Możemy dalej pracować i nie będziemy głodni - powiedziała, uśmiechając się z wdzięcznością. - Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć.

- Zawsze do usług.

Ucieszyła się, że Rafe odzyskał humor.

- Słuchajcie! - zawołała, gdy przyniesiono pizzę. - Zjemy teraz lunch, ale potem wracamy do pracy. Próba generalna jest o szóstej i do tej pory musimy skończyć.

W sali rozległ się głośny jęk.

- Pracujemy do piątej, a potem godzinny odpoczynek. Zgadza się?

- Hej! - odezwał się godzinę później Rafe, wskazując w kierunku drzwi. - Zdaje się, że masz gościa.

Shelley podniosła głowę znad malowanego właśnie plakatu i zobaczyła zaglądającą do sali Lindy.

- Cześć! - zawołała, machając pędzlem. - Zaczekaj chwilę, już kończę.

Wytarła dłonie w ręcznik i podeszła do dawnej przyjaciółki.

- Tak się cieszę, że przyszedłeś - powiedziała.

- Chciałam z tobą porozmawiać - odparła Lindy, rozglądając się nerwowo wokół. - Czy możemy wyjść na zewnątrz?

- Oczywiście.

Shelley zerknęła pytająco na Rafe'a. Skinął głową na znak, że dopilnuje pracy. To zdumiewające, jak w ciągu kilku dni ich wzajemna wrogość zamieniła się w ciche porozumienie.

Shelley wyszła z Lindy przed budynek. Podwórko było zaprojektowane w stylu tropikalnej wyspy z bujną zielenią i palmami. Po jednej stronie była ptaszarnia pełna śpiewających ptaków, a po drugiej ozdobiony posągami basen. Do basenu wpadały małe wodospady, a z głośników ukrytych w krzakach dochodziły dźwięki tropików. Shelley wzięła Lindy pod rękę i ruszyły na spacer po dżungli.

- Musiałam się z tobą zobaczyć - powiedziała z uśmiechem Lindy, odgarniając na bok błyszczącą czarną grzywkę. - Przepraszam, że nie byłam rozmowna wczoraj, ale nie mogłam mówić przy Gregu i Henrym. Oni mają taką mentalność, że traktują wszystkich jak wrogów. Na pewno pamiętasz, jacy oni są.

- O, tak - westchnęła Shelley.

- Uważają cię za zdrajczynię, bo odłączyłaś się od nas, kiedy zaczęłaś się spotykać ze swoim szefem. Uważają, że się sprzedałaś.

- Wiem, że tak myślą, i nie mam o to pretensji. Sama żałuję, że to tak wyszło. - Spojrzała na czarnowłosą dziewczynę, zastanawiając się, jak ułożyło się jej życie. - A ty? Też tak uważasz?

- Oczywiście, że nie. Zawsze cię lubiłam, Shelley.

- Kiedy się stąd wyrwiesz, Lindy? - spytała z uśmiechem.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Mam nadzieję, że niedługo.

- Ja też - odparła Shelley, ściskając jej rękę. - Wiem, że jesteś zdolna. Ale na pewno już to słyszałaś i nie będę robić ci wykładów. Czy masz dla mnie wiadomość od Quinna?

- Nie - odparła, potrząsając głową. - Dzwoniłam, ale nie podnosi słuchawki. Może wyłączyli mu telefon. Mogę jednak powiedzieć ci coś o Penny.

Lindy oblizwała wargi, spoglądając na Shelley z niepokojem. Potem rozejrzała się wokół.

- Lepiej usiadźmy - powiedziała, dostrzegając ławkę. To nie będzie miłe.

- Co takiego? - zawołała z przerażeniem Shelley. - O co chodzi?

Lindy wzięła głęboki oddech.

- Penny zmarła ponad rok temu.

- Co? O, nie - jęknęła Shelley, osuwając się na ławkę. Co się stało?

Lindy usiadła obok niej.

- Rak trzustki. Wszystko poszło bardzo szybko i po paru tygodniach Penny już nie żyła.

- Och, to straszne! - Shelley zakryła twarz dłońmi, kołysząc się w przód i w tył. - Biedna Penny. Biedny Quinn. - Potem opuściła ręce i spojrzała na Lindy. - A dziecko?

Lindy potrząsnęła głową.

- Przysięgam ci, Shelley, że nigdy nie słyszałam o żadnym dziecku. Penny nic mi o tym nie wspomniała. Ani Quinn.

- To gdzie jest to dziecko? - spytała zdumiona Shelley.

Lindy wzruszyła ramionami.

- A jesteś pewna, że istnieje?

Shelley westchnęła, powoli kręcąc głową.

- Szczerze mówiąc, nie jestem już niczego pewna.

- Rozumiem, że znasz ojca?

- Możliwe. Jeśli to dziecko naprawdę się urodziło.

Przez chwilę milczały, rozmyślając nad niezbadanymi wyrokami losu.

Potem Lindy zerknęła na Shelley.

- Tylko Quinn może ci powiedzieć więcej.

- Niestety, nie chce ze mną rozmawiać - westchnęła Shelley.

- Nie - odparła z chytrym uśmiechem Lindy. - Ale znalazłaś innego wspaniałego mężczyznę. Muszę przyznać, że bardzo mi się podoba. Wczoraj wieczorem byłam nawet zazdrosna. Wyglądacie na takich zakochanych.

- Zakochanych? - wykrzyknęła Shelley. - Rafe i ja?

Lindy wzruszyła ramionami.

- Tak mi się wydawało. Patrzyłam, jak tańczycie. - Kąciki ust opadły jej w dół. - A więc to nie romans? Szkoda. On jest fantastyczny.

Romans z Rafe'em? Ta myśl zszokowała Shelley, wywołując jednocześnie podniecenie. Romans z Rafe'em. Dlaczego nie?

O, do diabła! Przecież było tysiące powodów.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

„On jest fantastyczny”.

Shelley nie mogła zapomnieć tych słów. Nigdy nie musiała sprawdzać, czy Rafe jest w pobliżu, bo momentalnie czuła to przez skórę. „On jest fantastyczny” - przypomniało jej się.

Niestety ona za to była głupia, bo wzięła sobie te słowa do serca.

Dopiero godzinę później, kiedy Lindy już poszła, udało jej się odciągnąć Rafe'a na bok i powiedzieć mu, czego dowiedziała się od Lindy. Był równie przejęty jak i ona, co wzruszyło ją tym bardziej, że nie znał Penny. Poglądził Shelley po policzku, spoglądając na nią ze współczuciem.

Och, on jest naprawdę fantastyczny, pomyślała.

Rafe spojrział w drugi koniec sali.

- Spójrz, Matt przyjechał - powiedział. - Chyba wolał nie czekać do rana.

- Co? - zawołała Shelley, odwracając się gwałtownie. O, nie! - Z przerażeniem chwyciła go za klapy marynarki.

- Och, Rafe! Jak ja mu to powiem?

- Ale co? - spytał, marszcząc brwi.

Znieruchomiała, zdając sobie sprawę, że się wygadała. Jego twarz się rozjaśniła.

- O Boże! To znaczy, że Matt jest tym przyjacielem, o którym mówiłaś? Matt i Penny...?

Zamknęła oczy, potrząsając z rozpaczą głową. Co ona zrobiła?

- Nie powinieneś tego wiedzieć - wymamrotała.

Ale było już za późno. Matt zbliżał się do nich szybkim krokiem.

- Jak się masz, braciszku? - przywitał go Rafe.

Matt uściskał go i uśmiechnął się do Shelley.

- Witaj, moja najmilsza dziewczyno - powiedział.

Shelley była bliska łez, ale mimo to się uśmiechnęła.

- Och, Matt! - załkała, zarzucając mu rękę na szyję.

- Hej, co się stało? - spytał, wpatrując się w jej zbolaną twarz. -

Zdyskwalifikowali wasz zespół w konkursie czy co?

Shelley potrząsnęła głową.

- Jeszcze gorzej - powiedziała, biorąc go za rękę i spoglądając w ciemne oczy tak podobne do oczu brata. - Mam bardzo złe wiadomości.

Rafe gestem nakazał im iść za sobą. Wyszli na podwórko, gdzie na szczęście było całkiem pusto i mogli swobodnie porozmawiać.

Shelley szybko opowiedziała całą historię. Wyjaśniła, skąd wie o śmierci Penny i powiedziała, że nie udało jej się skontaktować z Quinnem.

- A dziecko? - spytał blady Matt, kiedy już skończyła opowieść.

Wyjaśniła, że nie udało jej się dowiedzieć nic konkretnego.

- Tylko Quinn może nam to powiedzieć.

Potem wymieniła spojrzenia z Rafe'em. Matt nie miał pretensji, że brat bez pozwolenia został wtajemniczony w sekret. Co za ulga! Matt i Rafe byli z sobą bardziej związani, niż to się niektórym wydawało. Mieli wiele powodów, by się nie lubić - zwłaszcza Rafe, ale chyba wcale tak nie było. Rafe nie byłby tak obłudny, żeby to ukrywać.

Matt był wyraźnie wstrząśnięty. Próbował się uśmiechnąć, gdy brat objął go serdecznie ramieniem, ale wcale mu to nie wyszło.

- Jedźmy do Quinna - powiedział.

Shelley znów zerknęła na Rafe'a. Byli w połowie przygotowań do próby generalnej. Czy mogą zostawić zespół?

- Teraz?



- Tak - odparł stanowczo Matt. - Jeśli pojedziemy we trójkę, to może go złapiemy.

Rafe wzruszył ramionami.

- Co sądzi o tym szefowa?

Szefowa. Nie mogła uwierzyć, że to słyszy. Zapomniała o tym, że jest szefową i powinna podejmować decyzje. W dodatku Rafe dobrowolnie pytał ją o zdanie. Szefowie mogą rozkazywać, ale muszą też ponosić odpowiedzialność za swoje błędy. Czy miała na to odwagę?

Wzięła głęboki oddech i spojrzała na zegarek.

- Dobrze. Powiem Candy. Ale najpóźniej o czwartej musimy być z powrotem.

Wsiadli do samochodu Matta zaparkowanego przed hotelem. Matt jechał w milczeniu, słuchając wskazówek Shelley. Zatrzymał się w połowie przecznicy przed budynkiem Quinna i wysiedli, ruszając do wejścia.

- Zejdę na podziemny parking i poszukam jego samochodu - powiedział Rafe. - W ten sposób będzie miał odciętą drogę ucieczki.

Matt skinął głową.

- Masz przy sobie komórkę? - spytał brata. - Zadzwoń do ciebie, kiedy się zorientuję w sytuacji.

- Dobrze - odparł Rafe i ruszył w kierunku parkingu.

Shelley weszła z Mattem do budynku, żeby mu pokazać, gdzie mieszka Quinn. Ostrożnie podeszli pod drzwi i Matt cofnął się, żeby Quinn nie mógł zobaczyć go przez wizjer.

- Quinn? - zawołała Shelley, kiedy nikt nie odpowiedział na jej pukanie. - Tu Shelley Sinclair. Chcę z tobą chwilę porozmawiać.

Cisza.

Matt przysunął się do ściany i przycisnął ucho do drzwi. Potem szybko się wyprostował i chwycił za telefon.

- Wychodzi przez okno - powiedział do Shelley. - Rafe, on idzie w twoją stronę - rzucił do słuchawki. - Ruszamy za nim.

Kiedy wypadli z za rogu na tyły budynku, zobaczyli, że przy wejściu na parking Rafe szarpie się z Quinnem. Matt skoczył mu na pomoc i już wkrótce chłopak był przyciśnięty do ściany.

- Dawno się nie widzieliśmy - powiedział Matt.

Quinn nie odpowiedział. Wysoki, chudy dwudziestokilkuletni mężczyzna spoglądał na nich wrogo. Grzywa dawno nieobcinanych ciemnoblonde włosów otaczała jego twarz. Miał na sobie stary T-shirt, brudne dżinsy i jeszcze brudniejsze adidasy. W sumie sprawiał nieprzyjemne wrażenie.

- To nieuprzejme - powiedział do niego Matt - nie odzywać się, gdy ktoś do ciebie mówi. Brakuje ci dobrych manier, co?

Quinn jęknął z bólu, bo Rafe wykręcił mu rękę.

- Hej, przestańcie - krzyknął. - Nie ma co się bić.

- Pewnie, że nie - odparł gładko Matt. - Bo i tak powiesz mi to, co chcę wiedzieć, prawda?

Quinn odchylił do tyłu głowę, mrużąc oczy.

- W porządku - wymamrotał. - Pamiętam cię, Matt. Wszystko ci powiem.

Matt spojrzał na brata. Niedostrzegalnie kiwnęli do siebie głowami, porozumiewając się bez słów. Matt stanął w szerokim rozkroku.

- Dobrze - powiedział. - To na początek wyjaśnij, dlaczego uciekasz przed Shelley.

Chłopak spojrzał na nią.

- Przepraszam - rzucił szorstko - ale w tej okolicy trzeba być ostrożnym.

Potem bez złości skierował wzrok na Matta.

- Ukrywam się od dawna - powiedział. - W ciągu ostatniego miesiąca trzy razy zmieniałem mieszkanie. Nie mam pojęcia, jak mnie znaleźliście.

- Przed kim się chowasz?

Quinn wzruszył ramionami.

- Pożyczyłem pieniądze. Nie chcę mieć połamanych nóg.

Matt pokiwał głową, wpatrując się uparcie w Quinna.

- Chyba nie kłamiesz - powiedział. - Ile jesteś winien?

Quinn się zawahał, po czym wymienił jakąś zawrotną sumę. Matt wyjął z kieszeni pióro.

- Podaj mi ich nazwiska.

- Po co?

- Chcę się tym zająć.

- Chcesz się tym zająć? - powtórzył z niedowierzaniem Quinn.

- Tak. Przynajmniej tyle mogę zrobić dla brata Penny. - Dał znak Rafe'owi, żeby puścił Quinna, i stał, trzymając pióro w pogotowiu. - Ale ty też musisz wyświadczyć mi przysługę.

- O co chodzi? - spytał Quinn, rozcierając ramię.

Matt rozejrzał się po obskurnej okolicy.

- Musisz zamieszkać z dala od ludzi, którzy wciągają cię w to bagno.

Wyprowadź się stąd i przyjeźdź do Chivaree. Załatwię ci pracę, może nawet w Allman Industries.

- Chivaree? - powtórzył przerażony chłopak. - Ale to dziura!

- Oczywiście. Tego właśnie ci potrzeba. Takiego miejsca, gdzie ludzie zauważą, kiedy schodzisz na manowce. Musisz nabrać sił i odzyskać godność - Spojrzał twardo na Quinna. - Zgadzasz się czy nie?

Chłopak poruszył się niespokojnie, pocierając dłonią kark.

- Naprawdę spłacisz moje długi?

- Tak.

Stanowcza odpowiedź nie pozostawiała żadnych wątpliwości.

Quinn zerknął na Shelley, a potem znów skierował wzrok na Matta.

- Dobrze - rzucił niechętnie. - Chyba mogę spróbować.

Shelley obserwowała wszystko z bijącym sercem. Wiedziała, że Matt jest odważny i wspaniałomyślny, ale teraz nie miała wątpliwości, że taki sam jest Rafe. Prawdę mówiąc, w tej chwili była zachwycona całą rodziną Allmanów... z wyjątkiem ojca. Jego mogła sobie darować.

- Dowiedzieliśmy się dzisiaj o śmierci Penny - powiedział Matt. - Przykro mi, że spotkało cię takie nieszczęście. Naprawdę.

Quinn tylko pokiwał głową.

- A teraz powiedz mi, co się stało z dzieckiem.

Quinn szybko podniósł głowę.

- Z dzieckiem? - powtórzył, spoglądając na nich bardzo podejrzliwie.

- Penny urodziła dziecko, prawda?

- No, tak - przyznał, widząc, że nie ma sensu kłamać.

- Kiedy?

Quinn zastanawiał się przez chwilę, a potem podał jakąś datę.

- Czyli sześć miesięcy po naszym rozstaniu - powiedział poważnie Matt.

- Tak - odparł z bladym uśmiechem Quinn. - Mówiła; że jesteś jego ojcem.

Po twarzy Matta przemknął cień bólu.

- Gdzie jest to dziecko? - spytał ochryple.

Quinn bezradnie potrząsnął głową.

- Nie mam pojęcia. Komuś je oddała.

Matt wyglądał tak, jakby ktoś zdzielił go obuchem w głowę.

- Oddała do adopcji?

- Chyba tak.

- Jak się nazywała ta agencja?

Quinn się zawahał, krzywiąc twarz.

- Nie wiem, czy to było oficjalnie. Penny latała pod samym radarem, jeśli mnie rozumiesz.

- Nie rozumiem - zdenerwował się Matt. - Komu, do diabła, oddała dziecko?

- Nie wiem. - Quinn szybko cofnął się na bezpieczną odległość. - Urodziła dziecko, ale potem go nie miała. Nigdy nawet go nie widziałem.

- Nie było nic w jej dokumentach?

- Nie wiem. Powyrzucałem mnóstwo rzeczy. - Spoglądał kolejno po ich twarzach. - Możecie zobaczyć to, co zostało. Ale nie jest tego dużo. - Quinn odchrząknął. - Biedna dziewczyna nie miała dobrego życia.

Wszyscy milczeli przez dłuższą chwilę, rozmyślając o kobiecie, która tak młodo zmarła. Ale Matt chciał wiedzieć jeszcze coś.

- Czy to był chłopiec, czy dziewczynka? - spytał cicho.

Quinn potrząsnął głową i światło słońca błysnęło w jego oczach.

- Przykro mi, Matt, ale nie wiem.

Shelley zakaszłała. Nie miała innego wyjścia. Od kilku minut zamartwiała się, że spóźnią się na próbę.

- Przepraszam bardzo - powiedziała w końcu - ale musimy wrócić na próbę generalną.

Matt odwrócił się gwałtownie i spojrzał na nią nieobecny wzrokiem.

- Jedźcie! - powiedział, rzucając Rafe'owi kluczyki od samochodu. -

Muszę jeszcze zapisać te nazwiska. Quinn odwiezie mnie do hotelu, prawda?

Quinn wzruszył ramionami.

- Oczywiście.

Rafe zmarszczył brwi. Chyba nie miał ochoty zostawiać brata w tej okolicy. Ale skoro Matt nie chciał jechać, nie było innego wyjścia. Zamienił z nim parę słów na boku, a potem ruszyli z Shelley do samochodu.

- Co cię tak ubawiło? - spytała, widząc uśmiech na jego twarzy.

- Życie. Do diabła - powiedział, przeciągając się. - Matt się zjawia i wszystko rusza pełną parą. Zawsze tak było - dodał z podziwem. - Co za facet!

Shelley patrzyła ze zdumieniem. Rafe nie był ani odrobinę zazdrosny, Naprawdę trudno było go zrozumieć. To prawda, że Matt zawsze zwyciężał, był przywódcą. Ale Rafe niewiele się od niego różnił.

Mimo to rzadko zyskiwał uznanie, zwłaszcza ze strony ojca. Dlaczego nie był o to zły?

- On zawsze był twoim wzorem, prawda? - spytała cicho. Rafe skinął głową.

- Oczywiście.

Z jednej strony to było naturalne. Większość chłopców idealizuje starszych braci. Ale Rafe był już mężczyzną i życie dało mu wiele powodów, by myśleć inaczej.

- Założę się, że David patrzy na ciebie w ten sam sposób - zauważyła.

Rafe spojrział na nią ze zdziwieniem.

- Wątpię.

- Dlaczego?

Jego usta wykrzywiły się w kącikach, co było niezawodnym znakiem, że Rafe'owi nie podoba się ten temat.

- Zaslługujesz na to - oświadczyła stanowczo.

Rafe jęknął ze zniecierpliwienia.

- Widzisz życie na różowo, prawda, Shelley? Nie zauważyłaś jeszcze, że zamiast dostać to, na co się zaslługuje, raczej dostaje się po głowie? Trzeba

liczyć na siebie, bo nie ma gwarancji, że ktoś pomoże ci, gdy będziesz w potrzebie.

Shelley siedziała nieruchomo, nie odzywając się. Oto dotarła do sedna prawdy, której szukała. W głębi serca Rafe żywił do świata żal. Choć bardzo starał się to ukryć, mimo wszystko był tylko człowiekiem.

Próba kostiumowa okazała się kompletną klapą. Zdania, które jeszcze kilka godzin temu wypowiedane były płynnie, teraz się plątały. Dekoracje spadały ze stelaży. Najpierw nie można było uruchomić wideo, a potem, gdy już się to udało, nie było nic słyhać. Candy szła do mikrofonu, by wygłosić przemówienie, i przewróciła się. Próbując złapać równowagę, chwyciła brzeg serwety i zrzuciła na ziemię całą wystawę. Dorie skoczyła naprzód, by ratować eksponaty, i także się przewróciła.

- Padają jak kręgle - powiedział Rafe, kręcąc głową z rezygnacją. - Może na wszelki wypadek powinniśmy zamówić na jutro karetkę pogotowia.

Shelley zamknęła oczy.

- Nieudana próba generalna przynosi szczęście, prawda?

- A zajaczek wielkanocny znosi czekoladowe jajka - odparł sceptycznie Rafe. - Zobaczymy, co będzie jutro.

Wszyscy mieli ponure miny przy kolacji. Matta nie było z nimi. Nie miał apetytu i Shelley go rozumiała. Ona też wolałaby nie iść do restauracji, ale uważała, że jako „szefowa” nie może zostawić zespołu. Wszyscy odzywali się półgębkiem i niewiele jedli.

Po kolacji cały zespół przeniósł się do sali konferencyjnej, żeby wyjaśnić problemy, które pojawiły się w trakcie próby generalnej. Była już prawie dziesiąta, gdy skończyli pracę i rozeszli się do swych pokojów. Shelley jechała windą z Rafe'em.

- Myślisz, że mamy jakieś szanse? - spytała z pustką w oczach.

Rafe wpatrywał się w nią z uporem, ale nic nie odpowiadał. Nagle zamknęła oczy i wybuchnęła śmiechem.

- Jestem taka zmęczona. Wydaje mi się, że ostatnie dwa dni trwały siedem lat.

- Wiem, co masz na myśli.

- Czy bycie szefem oznacza wieczne problemy?

- To ma swoje plusy i minusy. W sumie wolę rządzić, niż wykonywać czyjeś polecenia.

Przez chwilę zastanawiała się, czy ona też jest tego zdania. Kiedy wysiedli z windy, Rafe odprowadził ją powoli do pokoju.

- Na pewno uważasz, że powinniśmy realizować twój pomysł - powiedziała. - Kto wie? Może masz rację. Jeśli jutro nam nie pójdzie, będę musiała cię przeprosić.

- Nie bądź śmieszna - odparł, marszcząc brwi. - Zależy mi na tym, co robimy, tak samo jak całemu zespołowi. Na pewno nam się uda. To świetny pomysł. Jeśli Candy nie zniszczy scenografii, mamy jeszcze szansę.

Shelley się roześmiała. Byli już przy jej drzwiach, więc odwróciła głowę, żeby się pożegnać.

- Zobaczymy się rano - powiedziała. - Teraz idę spać.

Jego oczy żarzyły się jak węgle.

- Czy mogę wejść do ciebie? - wypalił nagle.

- Rafe... - wyjąkała zaskoczona.

- Chcę tylko chwilę porozmawiać - powiedział, dotykając jej brody wskazującym palcem. - Uporządkować swoje myśli. Zgadzasz się?

Spojrzała w jego ciemne oczy, wiedząc, że nie potrafi mu niczego odmówić. Ale na wszelki wypadek wołała zaprotestować.

- Jesteśmy starymi przyjaciółmi, pamiętasz? - dodał szybko.



- Starymi wrogami - poprawiła go.

Rafe wzruszył ramionami.

- Starzy przyjaciele, starzy wrogowie. To wszystko się z sobą łączy.

- Tak myślisz? - spytała, zdając się na łaskę losu i otwierając szeroko drzwi.

Serce biło jej jak szalone. Rafe był tak niesamowicie przystojny i taki męski. To niebezpieczna kombinacja. Bardzo łatwo mogłaby się w nim zakochać. Ale chyba była na to zbyt mądra.

- Wypijesz drinka? - spytała, wskazując barek w rogu pokoju. - A może wolisz herbatę miętową?

- Herbatę miętową?

- Mam czajnik elektryczny, więc można zagotować wodę.

- Świetnie.

Zaparzyła herbatę i naląła ją do kubków. Tylko gdzie usiąść, żeby nie wytworzyła się zbyt intymna atmosfera?

- Chodźmy na balkon - zaproponowała.

- Dlaczego nie - odparł z zadowoleniem.

Shelley obserwowała go przez chwilę. Był taki miły i spokojny. Czy to naprawdę ten sam Rafe Allman, którego znała od dziecka? Jeszcze dwa dni temu traktował ją z wyższością, a teraz był jak wspaniały wielki kocur, który za chwilę zacznie mrużyć.

Na balkonie było trochę chłodno, ale Shelley miała na sobie bawełniany sweter z długimi rękawami, a Rafe koszulę z grubego dżerseju. Usiedli przy stoliku, przysłuchując się dźwiękom dochodzącym z ulicy. Gdzieś w dole grała orkiestra mariachi, a dźwięki klaksonów przebijały się przez liście palm. W oddali widać było fragment rzeki, a wszędzie wokół migotały światła San Antonio. Choć od dwóch dni byli bardzo zapracowani, to był udany weekend

stanowiący odskocznnię od codziennego życia. Tylko że to wszystko skończy się za niecałą dobę.

- Co będzie, gdy wrócimy do Chivaree w poniedziałek? - spytała cicho.

- Co będzie? Zobaczymy. - Wzruszył ramionami, popijając herbatę. -

Jeśli wygramy, wrócimy w glorii chwały. I tata będzie się cieszyć.

- A jeśli przegramy?

Rafe milczał przez chwilę.

- To nie będzie triumfalnego powitania. Powiemy, że trzeba zaczekać do przyszłego roku, tak jak zawsze powtarzają baseballiści.

To dobrze, że nie zamierzał popełnić z tego powodu samobójstwa.

- Ja pewnie wylecę z pracy - jęknęła z ciężkim sercem.

- Dlaczego miałabyś wylecieć z pracy? - spytał, patrząc na nią ze zdziwieniem.

- Bo jestem szefową. Jeśli nie wygramy, to będzie moja wina. Czy nie tak jest zawsze?

Rafe zachichotał.

- Nie martw się. Nie pozwolę, żeby ktoś cię wyrzucił.

- To może nie zależeć od ciebie - odparła, podciągając nogi pod siebie i sadowiąc się wygodnie na krześle.

- Zdradzę ci mały sekret, moja droga - odparł z pobłażliwym uśmiechem.

- Wszystko, co się dzieje w Allman Industries, zależy ode mnie.

Shelley była o tym przekonana, choć nie chciała się do tego przyznać.

- Możliwe. Jednak to twój ojciec jest prezesem firmy.

- A ty myślisz, że on chce, aby Matt go zastąpił - rzucił sucho. - Zdaje się, że to twój ulubiony temat.

Shelley poruszyła się niespokojnie. Wszyscy w Chivaree tak uważali.

Całe miasteczko wiedziało, że Jesse Allman chce, żeby najstarszy syn przejął

po nim firmę. Tak samo jak dla nikogo nie było tajemnicą, że Matt zrobił unik, wyjeżdżając na studia medyczne. Siłą rzeczy Rafe musiał zająć się interesami, ponieważ tylko on był na miejscu.

- Czy ojciec nie naciska na Matta? - spytała otwarcie.

- Matt nie chce przejąć firmy - mruknął Rafe. - A ja wprost przeciwnie.

- Twój ojciec nigdy nie ukrywał, że chce widzieć na swoim miejscu

Matta.

Rafe zawahał się przez chwilę.

- Tak. To żadna tajemnica.

Shelley zerknęła na niego ukradkiem.

- Chyba nie powiesz, że się tym nie martwisz?

- „Martwisz” to nie jest odpowiednie słowo. - Przegarnął ręką gęste włosy, stawiając je na sztorc. - Oczywiście wolałbym, żeby ojciec był większym realistą. Ale równie dobrze byłoby, gdyby nie kłął tyle i nie pił whisky. On się nie zmieni. A my wszyscy nauczyliśmy się przez lata znosić jego dziwactwa.

Shelley spojrzała na Rafe'a. Jego oczy błyszczały w mroku. Rozumiała, że to nie jest dla niego przyjemne, ale skoro już zaczęła o tym mówić, nie mogła nagle przestać.

- Nie uważasz, że powinien bardziej cenić twoją pracę, zamiast bez przerwy angażować we wszystko Matta?

- Shelley...

- Bo ja tak uważam - powiedziała, dając wreszcie upust złości. - Jestem wściekła, że on lekceważy to, co robisz. Mam ochotę nim potrząsnąć.

Rafe błysnął zębami w uśmiechu.

- Nie możesz tego zrobić, Shelley. On jest chory.

Oczywiście ten człowiek zasługiwał na współczucie z powodu walki z rakiem, ale to nie znaczy, że miał prawo być okrutny dla rodziny.

- Czy nie widzisz, że bez przerwy walczysz o to, żeby cię pochwalił? Tak było już w dzieciństwie.

- Och, przestań - rzucił lekceważąco. - Oczywiście, że chciałbym, żeby mnie pochwalił, ale nie spędza mi to snu z powiek.

- Naprawdę? - Nie mogła w to uwierzyć. - To dlaczego tak ci zależy na tym, żeby wygrać ten konkurs? Czy przypadkiem nie chcesz ojcu czegoś udowodnić?

Rafe zamyślił się, a potem spojrzał jej prosto w oczy.

- Pewnie tak.

Shelley pokiwała głową.

- No to co? Takie jest życie - obruszył się.

- Ale to cię martwi.

- No dobrze, masz rację. To mnie martwi. Jesteś zadowolona, że się przyznałem?

Nie mogła mieć pretensji o to, że się zezłościł. Westchnęła ciężko.

- Tak - odparła bez przekonania.

To wciąż niczego nie rozwiązywało. Lecz Rafe zasługiwał na to, żeby mu pomóc.

Nie odważyła się poruszyć drugiej sprawy, która była powodem, że Rafe nie potrafił zbliżyć się do ludzi. Ból, jaki przeżył po śmierci matki, na pewno wpłynął na to, że prezentował światu chłodne oblicze. Matka była jego pocieszycielką i gdy jej zabrakło, na własną rękę musiał zmagać się z surowym ojcem. W ambitnej rodzinie Allmanów nie było to łatwe.

- Lepiej rozmawiać otwarcie o takich sprawach - stwierdziła z wahaniem.

Rafe jęknął.

- Darujmy sobie lekcję psychologii, panno Freud.

Nic sobie nie robił z tego, że Shelley zamięczała go swoimi pytaniami. Dlaczego zawsze wydawało jej się, że Rafe jest taki nieprzyjemny? Teraz wiedziała, że jest inaczej.

Rafe przyglądał się migoczącym miejskim światłom.

- Przypuszczam, że łączysz to wszystko z faktem, że nie znalazłem sobie żony - powiedział z zadumą.

- No... - To był dla niej trochę zbyt delikatny temat.

- Powiesz mi, że nie układa mi się z kobietami, bo ojciec nie szanuje mojej pracy.

- No...

- A ja ci powiem, że to głupoty. Wiesz dlaczego? Bo jestem zbyt zajęty, żeby znaleźć sobie żonę. To wszystko. - Odwrócił się i spojrzał na nią wyzywająco. - A ty jak się wytłumaczysz?

Shelley zamrugła oczami.

- Słucham?

- Dlaczego ty nie wyszłaś za mąż? Nie możesz sobie nikogo znaleźć?

- Ja? No... Ja...

- Widzisz? Nie tak łatwo odpowiedzieć, kiedy ktoś cię atakuje.

Rafe miał rację. Shelley wiedziała, że zasługuje na reprimendę. Ale mimo to nie uważała, żeby byli w podobnej sytuacji. W przeciwieństwie do Rafe'a miała za sobą kilka romansów. On, owszem, umawiał się na randki, bo dziewczęta lgnęły do niego jak muchy do miodu, ale nigdy nie miał prawdziwej narzeczonej. I to nie dlatego, że nikt go nie chciał.

- Byłeś kiedyś zakochany? - spytała.

Trudne pytanie. Rafe przełknął parę razy ślinę i wpatrzył się w przestrzeń.

- Trafiałaś. Nie byłem. A ty? - spytał, przygważdżając ją wzrokiem.
- Ja? Tak. Przynajmniej tak myślałam.
- Och, oczywiście! Jason McLaughlin.

Jego wzrok zdawał się drażnić jej duszę. Ale to była tylko jej wina, bo to ona się uparła, żeby zrobić seans psychoanalizy. Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie.

- I jak? - spytał sarkastycznie. - Czy to było dobre doświadczenie? Rozwinęłaś swoją osobowość? Czy miłość sprawiła, że stałaś się lepszym człowiekiem? A może zniechęciłaś się zupełnie do romansów?

Shelley wzięła głęboki oddech. Nie miała ochoty o tym rozmawiać. W takim razie może też powinna dać mu spokój. Czy o to mu właśnie chodziło?

- Wygrałeś - powiedziała. - Przepraszam, że wtrącam się w nie swoje sprawy. Wiesz co? Już nie mówmy więcej o Jasonie.

Jego twarz wykrzywił grymas.

- To, jak reagujesz na każde słowo o Jasonie, sprawia, że myślę...

- Przestań! - ucięła krótko. Czy Rafe nie wiedział, że dręczy ją poczucie winy, a nie miłość? - Nie ma o czym myśleć. Nie znoszę tego człowieka. Czy możemy zmienić temat?

Przyglądał się jej przez chwilę, a potem odwrócił głowę.

- Chyba lepiej już pójdę. Jutro mamy ciężki dzień.

- Już? - spytała z nagłym rozczarowaniem.

Rafe skinął głową i wstał, wpatrując się w aksamitną noc.

- Cokolwiek jutro się zdarzy - powiedziała cicho - naprawdę się cieszę...

Spojrzał na nią i uśmiechnął się, dotykając ciepłą dłonią jej policzka.

- Z czego się cieszysz?

Shelley zawahała się, pragnąc jak najdłużej czuć ten dotyk.

- Z tego, że się lepiej poznaliśmy - powiedziała cicho. - Nigdy nie sądziłam...

Spojrzała na jego usta i z całego serca zapragnęła, by ją pocałował.

Rafe się zawahał. Ten pocałunek będzie bardzo ważny. Shelley mu ufa. Jeśli ją pocałuje, to będzie deklaracja.

Przez całe życie unikał deklaracji. Dlaczego teraz miałby się zmieniać? Nie warto. Shelley jest bardzo pociągająca, ale to pułapka. On nie może dać się złapać.

- Lepiej połów się spać - burknął niechętnie, odwracając się, by wyjść z balkonu. - Zobaczymy się rano.

Shelley się nie odezwała. Szła za nim i nagle położyła rękę na jego ramieniu.

- Rafe?

Musiał się odwrócić, choć wiedział, że to błąd.

- Rafe? - powtórzyła, spoglądając na niego zamglonym wzrokiem.

Jej głos przeniknął go do głębi. Przez sekundę, dwie, czuł strach.

Westchnienie, żal za czymś, co właśnie odchodzi. Wiedział, że kiedy spojrzy w jej oczy, będzie zgubiony. Ale zrobił to. I strach przeminął jak letni deszczyk.

To musiało się stać. Było nieuniknione od chwili, gdy ich spojrzenia spotkały się po przyjeździe na konferencję. Niewidzialna siła przyciągała go do niej aż do chwili, gdy miała zatrzaskać się pułapka.

- Shelley - szepnął, tracąc ostatnią szansę ratunku, gdy dotknęła dłonią jego twarzy.

Wtuliła się w niego, podając mu usta. Spragniony jej pocałunków, przyciągnął ją do siebie. Każdy jej oddech, każde westchnienie podniecało go do nieprzytomności.

Jego ręce wślizgnęły się pod jej bluzkę. Gładził jedwabiste ciało, które miało smak egzotycznego wina. Zadrżała, gdy dotknął piersi i jej jęk doprowadził go niemal do szaleństwa.

Oboje pamiętali, że tuż obok jest łóżko. Tam ich pragnienia mogłyby się spełnić.

Shelley wiedziała, że kusi los. Naraża się na niebezpieczeństwo. Ale już się tego nie bała. Chciała zapomnieć o rozsądku. Jeszcze mocniej przytuliła się do Rafe'a.

Już to przeżywałaś, przemknęło jej przez myśl. Zapomniałaś o Jasonie? Nie pamiętasz, z jakim bólem uświadomiłaś sobie, że on cię nie kocha? Nie pamiętasz, z jakim wstydem patrzyłaś na jego żonę?

Dobrze pamiętała to wszystko, ale była zamroczona gorączką, jaką wzbudzała w niej jego bliskość.

Zakochałam się w Rafe Allmanie.

Co?

Tak. Zakochałam się. Na zawsze.

Przerażona wyrwała się z jego uścisku, ocierając dłonią usta.

- Co się stało? - spytał nieprzytomnie.

Patrzyła na niego jak oniemiała. Jeszcze chwila i przekroczyliby niewidzialną granicę. Nie była na to gotowa. Nie mogła ryzykować. Jeszcze nie.

- Lepiej już idź - powiedziała, odsuwając się.

Rafe wziął głęboki oddech.

- Przepraszam, Shelley - powiedział szybko. - Obiecywałem ci, że do tego nie dojdzie.

- Nie, to moja wina - odparła, potrząsając głową. - Ale nie zdawałam sobie sprawy...



- Z czego?

- ... że to będzie takie ważne - szepnęła.

Zmarszczył brwi, lecz po chwili jego twarz się rozpuściła. Rozumiał ją. Przecież myślał podobnie. Shelley boi się tak samo jak on.

Spojrzał na nią czule.

- Shelley - powiedział, dotykając jej włosów - jesteś dla mnie bardzo ważna.

Skinęła głową.

- Ty dla mnie też - szepnęła.

Zamknęła oczy, całując jego dłoń.

- Muszę iść - rzucił niechętnie. - Śpij dobrze.

- Nie wiem, czy w ogóle zasnę.

Uśmiechnął się, wiedząc, że chyba będzie miał ten sam problem.

- Dobranoc - powiedział, całując ją w usta.

- Dobranoc - powtórzyła.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, z westchnieniem opadła na łóżko. Była zakochana w Rafie. Nagle wybuchnęła śmiechem.

O Boże! Co ma teraz zrobić?

## *ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY*

Atmosfera była nerwowa, lecz Rafe wcale się tym nie przejmował. Chciał wygrać konkurs, ale niedawno zorientował się, że jeszcze bardziej zależy mu na tym, żeby zdobyć Shelley.

Bez przerwy o tym myślał. Lubił spotykać się z kobietami i flirtować. Nigdy jednak nie pragnął być z kimś do końca życia - to znaczy nigdy przedtem.

Znał ją od dziecka. Zawsze była gdzieś w pobliżu. A teraz zapragnął, żeby została z nim na zawsze. Nagle nie mógł wyobrazić sobie bez niej życia.

Tego ranka, gdy sobie to uświadomił, uśmiechał się do wszystkich. Czuł się wspaniale. Chyba jestem pijany miłością, pomyślał. To było głupie, ale cudowne.

Przy śniadaniu siedziała naprzeciw niego. Promienie słońca wpadające przez wielkie okna złociły jej włosy. Leniwy uśmiech i migdałowe oczy sprawiły, że krew zaczęła mu szybciej krążyć w żyłach. Znał ją tak dobrze, a jednocześnie była mu obca. Pragnął jej bardziej niż czegokolwiek na świecie.

Czekał ich dzień pełen przeżyć. Po śniadaniu cały zespół zebrał się w sali konferencyjnej, żeby omówić ostatnie szczegóły występu. Mieli pokazać się prawie na samym końcu.

Przedtem będą się zastanawiać, jak wypadli inni. Jeśli zechcą, będą mogli oglądać pokazy swoich konkurentów.

- Nawet sobie tego nie wyobrażam - powiedziała z przejęciem Candy. - Jestem pewna, że zaraz pomyślałabym, że robimy wszystko źle, i przed samym występem byłabym do niczego.

Rafe był podobnego zdania, ale nie mógł już usiedzieć w miejscu.

- Muszę się przejść - powiedział do wszystkich, choć wiadomo było, do kogo są adresowane te słowa. - Czy ktoś idzie ze mną?

Shelley spojrzała na niego z czułością. Wiedział, że czuje do niego to samo co on do niej. Chyba że oszalał i całkiem oślepl. Jeśli zbierze się na odwagę, to wszystko ułoży się wspaniale.

- Nie mogę teraz wyjść - odparła z żalem. - Obiecałam Dorie, że powtórzmy jeszcze raz jej kwestie. Idź sam. Może później do ciebie przyjdę.

Wyszedł do holu, rozkoszując się wspaniałością tego nowego uczucia. Wciąż nie mógł uwierzyć, że to prawda. Nigdy nie sądził, że to mu się zdarzy. Nie rozumiał, jak jego znajomi mogli nagle dojść do wniosku, że chcą być z jakąś kobietą na zawsze. Ale teraz czuł to samo. Tego właśnie brakowało do tej pory w jego życiu.

Przechodząc obok jednej z sal, w których odbywały się przesłuchania, zajrzał do środka. Na scenie stał Jason McLaughlin. Rafe potrząsnął głową. To na pewno będzie dobry występ. Bezszelestnie wśliznął się na salę i usiadł z tyłu.

Już po paru chwilach zorientował się, że ten zespół realizuje jego własny pomysł. Jason odgrywał rolę, którą powinien grać Rafe, nakłaniając podwładnych do walki o zdobycie rancza Quarter Season.

Z początku nie mógł uwierzyć własnym oczom. To niemożliwe! Ale wreszcie pozbył się złudzeń. Ukradli jego pomysł. Siedział wbity w fotel, nie mogąc oderwać oczu od sceny.

Shelley wyszła do holu, żywiąc nadzieję, że zobaczy gdzieś w pobliżu Rafe'a. Niestety nigdzie go nie było. Za to w jej stronę zmierzał Quinn. Był starannie uczesany, a jego ubranie było czyste i wyprasowane. Zabawne, jak takie drobiazgi mogą zmienić obraz człowieka. Ten chłopak po prostu wzbudzał dziś zaufanie.

- Quinn! - zawołała. - Jak miło cię znowu widzieć. Co słyszeć?
- W porządku - odparł, trzymając ręce w kieszeniach dżinsów.
- Przyszedłeś zobaczyć konkurs?
- Tak. Matt powiedział, żebym przyszedł, a ja postanowiłem go

posłuchać.

- Bardzo dobrze. - Uśmiechnęła się. - Czy ty kiedyś nie grałeś w zespole?

Jak wam idzie?

Quinn spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Zespół się rozpadł ponad rok temu. Czasem występuję solo. - Wzruszył ramionami, odwracając głowę. - W biznesie muzycznym jest teraz dosyć ciężko.

- No, tak. Nie myślałeś o czymś innym?

- Nie - odparł wyraźnie zaskoczony jej pytaniem. - Co mógłbym robić innego? Muzyka to moje życie.

Shelley się uśmiechnęła.

- Jeśli życie cię nie rozpieszcza, czasem trzeba rozejrzeć się za czymś innym.

Quinn nie wyglądał na przekonanego.

- Teraz wszystko i tak się zmieni. - Skrzywił się. - Zakopię się w tej dziurze Chivaree.

- Hej, zapewniam cię, że tam nie jest tak źle. - I kto to mówi? Miała ochotę się roześmiać. Coś takiego, staje w obronie swojego miasteczka. - Ostatnio bardzo się rozbudowało. Mamy nawet nowego TidyMarta.

- O, to wspaniale!

- I wielkie sklepy, i najmodniejsze fast foody...

- To będę się czuł jak w domu.

Shelley się skrzywiła.

- Twój sarkazm jest nie na miejscu, Quinn. Jeszcze się zdziwisz, jak ci się tam spodoba.

- Tak. Możliwe. - Jego oczy rozbłysły. - Hej, Shelley! Przepraszam, że ci wczoraj uciekłem. - Uśmiechnął się nagle. - To przez tę pogoń. Myślałem, że za chwilę mnie dopadniesz.

- Wciąż nie rozumiem, dlaczego tak ode mnie uciekałeś.

- Wiesz, nigdy nie wiadomo. Ci gangsterzy, przed którymi się chowam, nie są głupi. Mogli wysłać kogoś podobnego do ciebie, żeby zastawić pułapkę. Nie chciałem ryzykować. Od tygodni stale się ukrywam.

- Ale cię jeszcze nie złapali. Masz całe nogi.

- No, tak. Jeśli Matt mi pomoże, może ich nie stracę.

Shelley się roześmiała, a potem pożegnała z Quinnem.

Rozejrzała się jeszcze raz po holu, ale nie zobaczyła Rafe'a.

Zmarszczywszy brwi, wróciła na salę.

Prezentacja McLaughlina już się skończyła. Rafe wciąż siedział jak rażony gromem, choć wszyscy wychodzili z sali. Nie mógł uwierzyć w to, czego przed chwilą był świadkiem. Jak do tego doszło?

Wiadomość o sprzedaży rancza dotarła do niego w zaufaniu od bliskiego przyjaciela, który był zaangażowany w całą procedurę. Pozwolił Rafe'owi wykorzystać tę informację. Dlatego Rafe był pewien, że nikt inny o tym nie wie z wyjątkiem jego zespołu. Teraz okazało się, że przeciek dotarł także do kogoś z zespołu McLaughlina.

Jason zauważył go i ruszył w jego stronę. Stał przed nim z miną triumfatora.

- Jak ci się podobało? - spytał złośliwie. - Czy dobrze zinterpretowałem twój pomysł?

Rafe wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę.

- Kto ci powiedział? - spytał w końcu ochryplym głosem. - Kto zdradził mój plan?

Jason wyszczerzył zęby jeszcze szerzej.

- Nie mogę ci powiedzieć. Nie chcę, żeby miała kłopoty. Chociaż i tak chyba wiesz, o kim mówię, prawda? - Potrząsnął głową. - Zawsze łączyły nas silne więzy. Oczywiście ona próbuje się wyzwolić. Ale kiedy poproszę ją o coś, to zawsze ulega. Lubi ulegać, prawda? - spytał ze złośliwym błyskiem w oku.

Rafe wciąż nie mógł uwierzyć w to, co słyszy. Czy to była prawda, czy też nie, i tak chciał zabić Jasona. Skoczył naprzód, lecz ktoś chwycił go z tyłu za rękę.

- Hej! - Matt pojawił się w ostatniej chwili, by uchronić brata przed popełnieniem głupstwa. - W ten sposób nie zarobimy dodatkowych punktów dla zespołu, prawda?

Rafe się odwrócił. Po raz pierwszy w życiu był wściekły na Matta.

- Zostaw mnie w spokoju! - zażądał, wyrywając się.

Kiedy się odwrócił, Jasona już nie było. Spojrzał gniewnie na starszego brata i wyszedł z hotelu na ulicę. Wiedział, że musi zaczerpnąć świeżego powietrza i ochłonać.

Zbliżała się pora ich występu. Shelley czuła, że kolana trzęsą się jej ze strachu, ale starała się to zignorować. Wszystko się uda, nawet gdyby miała paść trupem po występie.

- Gdzie jest Rafe? - spytała niespokojnie.

Od godziny nie wracał ze spaceru.

Candy wzruszyła ramionami.

Shelley wyrzała na korytarz. Jodie, siostra Rafe'a, i jej narzeczony Kurt McLaughlin zbliżali się w jej stronę.

- Jodie! - zawołała szczęśliwa, że widzi przyjaciółkę z lat dziecińczych.

Ze śmiechem padły sobie w ramiona, tak jakby nie widziały się parę miesięcy, a nie zaledwie kilka dni.

- Nie mogę uwierzyć, że przyjechałaś!

- Jedliśmy z Kurtem śniadanie w kawiarni u twojej mamy, zastanawiając się, jak to wszystko będzie, gdy nagle Kurt spytał, dlaczego nie mielibyśmy tu przyjechać.

- Tak się cieszę. Mam nadzieję, że nie sprawimy wam zawodu.

- Nawet tak nie myśl. Zobaczysz, że wszystko pójdzie znakomicie.

Możliwe, ale na razie Shelley dygotała z nerwów. Wiedziała, że za chwilę zacznie się ich występ. Spozrzęła z ulgą, że Rafe wreszcie wrócił. Chwilę później wychodzili już na scenę.

Skecz rzeczywiście wypadł wspaniale. Candy się nie przewróciła i nikt nie stracił rekwizytów. Magnetowid działał bez zarzutu i projekcja przebiegła tak, jak zaplanowano.

Shelley prowadziła prezentację. Stojąc z boku jako niewidzialny narrator, wyjaśniała, co się dzieje na scenie, przeplatając występ dowcipami, które widownia przyjmowała z aplauzem. Candy wypadła świetnie w roli koordynatora programu, a Rafe był bardzo przekonujący jako sceptyk, który w końcu daje się przekonać.

Kiedy sędziowie wyszli z sali, wszyscy uściskali się z radości, że występ się udał. Shelley objęła także Rafe'a, ale mimo gwaru dookoła zauważyła, że jego reakcja nie jest zbyt serdeczna.

Nie było jednak czasu spytać go o to. Za chwilę zaczynała się uroczystość wręczenia nagród. Wszystkie zespoły miały wyznaczone miejsca w audytorium i przy wejściu otrzymały pompony w swoich barwach. Jako liderka zespołu Shelley miała dyrygować wiwatami, które także były oceniane

przez sędziów. Po wdzięcznym wykonaniu zadania usiadła na zarezerwowanym dla niej miejscu między Jaye i Candy. Rafe siedział dwa rzędy dalej z siostrą i bratem i wydawał się jej nie zauważać.

Nagle ogarnęły ją złe przeczucia. Coś się stało, a nie było jak porozmawiać z nim sam na sam. Konferansjerzy opowiadali dowcipy i wzruszające historie, ale Shelley puszczała wszystko mimo uszu. Bez przerwy myślała o tym, dlaczego Rafe jest taki chłodny. Czy dlatego, że weekend się kończy i czas wrócić do normalności? Trudno było w to uwierzyć po ich wczorajszym spotkaniu.

Wreszcie nadeszła pora rozdania nagród. Siedzieli jak na szpilkach, gdy konferansjerzy zaczęli ogłaszanie wyników od dziesiątego miejsca i powoli przesuwali się do przodu. Firma Jasona zdobyła piąte miejsce. Kiedy podano laureatów drugiej nagrody, napięcie sięgnęło zenitu. Wszyscy wstrzymali oddech.

- Pierwsze miejsce za najlepszą interpretację tematu zamiany stanowisk otrzymuje... Allman Industries!

Wszyscy oszaleli z radości. Podskakiwali, obejmując się i krzycząc. Zawiozą ten wspaniały wielki puchar do Chivaree. Co za chwila! Shelley i Rafe razem odebrali trofeum i wygłosili krótkie przemówienia. Na scenie oboje uśmiechali się od ucha do ucha.

Zarezerwowali już salę bankietową w hotelu na uroczyste przyjęcie i właśnie się tam udawali. Shelley wpadła jeszcze szybko do pokoju, żeby trochę się odświeżyć, po czym zjechała windą do restauracji. Przy recepcji stał z bagażem Rafe.

- Gdzie jedziesz? - spytała ze zdumieniem. - Wygraliśmy! Nie chcesz świętować zwycięstwa?

Spojrzał na nią nieobecny wzrokiem.



- Muszę coś przemyśleć - powiedział.

Shelley zamarła z przerażenia.

- Co to znaczy?

Potrząsnął głową.

- Nie martw się, Shelley. To chodzi tylko o mnie. Muszę się nad czymś zastanowić. Do Chivaree jest kawał drogi. Będę miał dużo czasu, żeby pomyśleć. - Uśmiechnął się przelotnie, zbierając bagaże i kierując się do wyjścia. - Porozmawiamy jutro - dorzucił.

I już go nie było.

Shelley patrzyła za nim. Coś się stało. Ale co?

Szybkim krokiem poszła do restauracji i odszukała Matta, który rozmawiał właśnie z Jodie.

- Rafe pojechał do domu - oznajmiła. - Nie wiecie, o co chodzi?

Matt zrobił zdziwioną minę, a potem zaklął pod nosem.

- Co za idiota! Nie powinien tak się tym przejmować.

Shelley potrząsnęła głową.

- Ale czym?

- Nie słyszałaś? Zespół Jasona McLaughlina przedstawił pomysł, który chciał realizować Rafe. Rafe widział to i bardzo się zdenerwował.

Shelley zmarszczyła brwi, potrząsając głową.

- Nadal nic nie rozumiem.

- To był plan przygotowań do przejęcia rancza Quarter Season - wyjaśniła Jodie. - Zdaje się, że ludzie Jasona przedstawili go tak, jak to wymyślił Rafe. To oczywiste, że ktoś doniósł im o wszystkim.

- Och, nie! - jęknęła Shelley.

Ależ Rafe musiał się tym przejąć! Jaka szkoda, że nie może z nim teraz porozmawiać. Dlaczego jej nie powiedział?

- Nic dziwnego, że się zdenerwował.  
- Gdyby to w dodatku nie był Jason McLaughlin... - pokręcił głową Matt.  
- Ale nie wygrali - stwierdziła Shelley. - Zajęli dopiero piąte miejsce. To my jesteśmy zwycięzcami. - Zastanawiała się przez chwilę, marszcząc brwi. - Rozumiem, dlaczego Rafe się zezłościł. Ale dlaczego wydawało mi się, że ma do mnie pretensje?

Matt wzruszył ramionami, a potem wypalił prosto z mostu.

- Z fragmentu ich rozmowy, który usłyszałem, zrozumiałem, że Jason dowiedział się wszystkiego od ciebie.

Shelley zdrętwiała z przerażenia.

- Ode mnie?

- A nie? - wtrąciła szybko Jodie.

- Nie. - Potrząsnęła głową ze zdumieniem. - Nikomu nie pisałam ani słowa.

Jodie wzruszyła ramionami z wyraźną ulgą.

- Niech sobie to przetrawi. Wkrótce mu przejdzie.

Shelley miała rozdartą duszę. Z jednej strony chciała za nim jechać - ale to nie było rozsądne. I tak znalazłaby go dopiero w Chivaree. Poza tym nie mogła wyjechać. W dalszym ciągu, aż do końca konkursu, była szefową i nie wolno jej zostawić zespołu. Postanowiła więc świętować zwycięstwo i nie myśleć o Rafe.

Oczywiście to było niemożliwe. Ale im dłużej myślała o nim, tym bardziej sama była zła. Czy Rafe naprawdę uważał, że mogłaby go tak zdradzić? Jeśli tak, to znaczy, że nie miał do niej zaufania. To nie było w porządku. Prawdę mówiąc, doprowadzało ją do wściekłości.

Mimo to nie mogła pozwolić, żeby jego zachowanie odebrało jej radość ze zwycięstwa. W końcu w jakimś sensie to była jej zasługa. Była dumna, że udowodniła, na co ją stać. Jej życie teraz zmieni się na lepsze. Chyba że...

Chyba że Rafe uzna, że jednak jej nie lubi i nie zechce z nią rozmawiać. Dreszcz przeszedł jej po plecach, ale odsunęła od siebie tę myśl. To niemożliwe. Przecież było im tak dobrze razem!

Nie pozwoli, żeby coś zepsuło ten dzień. Z uśmiechem dołączyła do bawiących się gości, postanawiając, że będzie się martwić później. Tym razem nie poniesie ofiary, tylko coś wymyśli.



## *ROZDZIAŁ DZIESIĄTY*

Rafe czuł, że skręcają mu się wnętrzności, kiedy wjeżdżał na autostradę. To było okropne. Przyłożył rękę do żołądka, próbując zlokalizować ból.

Nagle przypomniał sobie, jak strasznie cierpiał w dniu pogrzebu matki. Dziś było podobnie. Zaklął pod nosem, bo znów ogarnęła go fala mdłości. Przecież nie ma powodu, żeby tak się czuł. Śmierć matki była strasznym ciosem, ale teraz? Co się stało?

Jednak domyślał się, co było powodem jego choroby: zdrada. Znalazł miłość i nagle ją utracił. Gdzie jest panna Freud, która przeanalizuje jego zachowanie?

Może miał rację, że był nieufny w stosunku do kobiet, skoro tak odpłacały się za dobre serce. Nagle przypomniały mu się słowa, które kiedyś usłyszał od przyjaciela: „Nie zakochuj się, jeśli nie chcesz cierpieć”.

Szczera prawda.

Całe szczęście, że jeszcze do tego nie doszło. Zdążył się zorientować, że Shelley nie potrafi naprawdę kochać.

Choć nie chciał się nad tym zastanawiać, wiedział, że i tak będzie myślał o niej przez całą drogę. Nacisnął pedał gazu i pomknął naprzód.

- Nie przejmuj się! - machnęła ręką Candy, stojąc w kolejce do wymeldowania się w recepcji. - Wszyscy mężczyźni są tacy sami. To oszuści. Nie można traktować ich poważnie.

Shelley wzdrygnęła się. Ona sama mówiła kiedyś tak jak przyjaciółka. Ale Rafe był inny.

Och, przestań! Raz się pomyliłaś, prawda? Dlaczego myślisz, że teraz ci się uda?

Tak, pomyliła się. Ale podczas tego weekendu czegoś się nauczyła. Musiała podjąć się bardzo trudnej roli. I całkiem nieźle jej wyszło. Nigdy nie podejrzewała, że jest do tego zdolna.

Kiedyś była tchórzem. W razie trudności chowała głowę w piasek. Czy mogłaby spojrzeć sobie w twarz, gdyby zachowała się tak w tej chwili? Nie. Dlatego nie wolno jej się poddać. Jeśli naprawdę kocha Rafe'a, to powinna o niego walczyć. Nawet ryzykując wszystko.

Przed odjazdem poszła pożegnać się z Mattem.

- Mam nadzieję, że twój plan wypali i Quinn cię nie rozczaruje w Chivaree - powiedziała.

Wzruszył ramionami.

- Nie w tym rzecz. Po prostu chcę mu pomóc. Niewykluczone, że potem on pomoże mi odnaleźć dziecko.

- Naprawdę chcesz je odszukać?

Skinął głową.

- Muszę. Przecież jestem jego ojcem.

Matt zachowywał się szlachetnie, ale te poszukiwania mogą się okazać beznadziejne.

- Słuchaj, Shelley! - powiedział, ściskając ją serdecznie - Jeszcze nawet nie podziękowałem ci za to, że odnalazłaś Quinna. Bardzo mi pomogłaś. Jestem ci naprawdę ogromnie wdzięczny.

- Nie ma za co - odparła z wilgotnymi oczami. - Życzę ci dużo szczęścia.

Wracała do Chivaree razem z Jaye Martinez. Zespół B nie zajął wysokiego miejsca w konkursie, ale świetnie się bawili i Jaye przez całą drogę

miała o czym opowiadać. Nie zauważyła nawet, że Shelley prawie się nie odzywała.

Gorączkowo zastanawiała się nad tym, co powinna zrobić. Czy warto walczyć o Rafe'a? Jeśli nienawidził jej za coś, czego nie zrobiła, może nie jest tego wart. Ale trudno było w to uwierzyć.

Kiedy się dobrze zastanowić, to może chodziło jednak o jej przeszłość. Czy nie miał jej za złe, że spotykała się z kimś tak beznadziejnym jak Jason? A jeśli nie umiał tego zaakceptować? Może uznał, że nie jest warta jego uczucia.

Może - jeśli nie chce przeżyć bólu, dowiadując się, co naprawdę Rafe o niej myśli - powinna zrezygnować i pogodzić się z losem.

Tego jednak nie mogła zrobić.

Pragnęła znów zobaczyć jego czułe spojrzenie. Kochała go. I chciała, żeby on ją kochał.

Ale to nie był z jej strony akt rozpacz. O, nie. Tyle nauczyła się podczas ostatniego weekendu. Poznała swą wartość i była z tego dumna. Już nigdy nie pozwoli na to, żeby uzależnić się od mężczyzny, tak jak to było z Jasonem.

Nie chce, żeby ktoś odebrał jej wiarę w siebie.

Och, tak? - odezwał się w jej głowie cichy głosik. To dlaczego zakochałaś się w Rafie Allmanie?

- Bo on jest inny - powiedziała na głos. Warto o niego walczyć. Potem uśmiechnęła się, wiedząc, że to prawda.

W poniedziałek rano w Chivaree należało wypić kubek parującej kawy w „Millie's Café”, i tam właśnie znalazł się Rafe.

Millie przywitała go jak zwykle przyjaznym uśmiechem. Usiadł na stołku przy długim barze. Prawie wszystkie miejsca były zajęte i wszędzie rozlegał się gwar rozmów. W powietrzu unosił się zapach kawy i bekonu. Millie przyjęła od niego zamówienie na bajgla i kubek czarnej kawy.

- Hej, Millie - powiedział, kiedy chciała już odchodzić. - Wiesz, że spędziłem weekend z twoją córką?

- Co takiego? - Na jej wciąż ładnej twarzy malowało się zdumienie. Uśmiechnął się leniwie.

- Byliśmy razem na konferencji w San Antonio - wyjaśnił.

- Aha. - Odetchnęła z ulgą. - Wiedziałam, że to nie może być żaden romans. Wy dwoje przez całe życie skakaliście sobie do gardeł. Kiedy Shelley wracała do domu, od razu słyszałam krzyk: „Ten cholerny Rafe Allman!”.

- Ten cholerny Rafe Allman! - Pokiwał głową, uśmiechając się łobuzersko. - Tak, to ja.

Millie wciąż stała przy nim.

- Co się stało, skarbie? - spytała, czując, że jest zdenerwowany.

Uśmiechnął się.

- Znałaś dobrze moją matkę, prawda? - spytał.

Delikatnie dotknęła jego ramienia.

- Nie spotykałyśmy się za często w ciągu ostatnich paru lat, ale kiedyś bardzo się przyjaźniłyśmy.

Spojrzał na nią. Dlaczego zaczął wspominać przeszłość? Millie jednak wcale nie była zaskoczona.

- Zawsze uważałam, że jej śmierć była dla ciebie największym ciosem - stwierdziła z zadumą. - Byłeś jej ulubieńcem. Kiedy odeszła, na długo zamknąłeś się w skorupie. - Wzruszyła ramionami, uśmiechając się do niego. - Tak się cieszę, że wreszcie znalazłeś swoje miejsce. Słyszałam, że świetnie sobie radzisz w firmie ojca.

Zmierzwiała czule jego włosy, jakby wciąż był małym chłopcem.

- Wiem, że matka spogląda teraz z góry i jest z ciebie dumna - powiedziała lekko drżącym głosem i oddaliła się, żeby zaparzyć kawę.

Patrzył, jak wdzięcznie się porusza, serwując innym gościom zamówienia. Czego od niej oczekiwał? Sympatii? Zawsze mu ją okazywała. Mimo wrogości, jaka czasem była widoczna między nim a jej córką, Rafe kiedyś często znajdował u Millie pociechę. Zabawne, jak łatwo zapominało się o takich zdarzeniach z dzieciństwa. Nie zastanawiał się nad tym od wielu lat.

Potrząsnął głową z żalem. Millie była bardzo miła, ale jej córka odebrała mu teraz spokój. Powinien znaleźć sposób, żeby o niej zapomnieć.

- Wyglądasz jak ktoś, kto ma ochotę na ciasto.

Zaskoczony podniósł głowę i zobaczył młodą kelnerkę z wypisanym na plakietce imieniem Annie. Stała nad nim, wymachując wspomnianym kawałkiem ciasta. Wiśniowe z dodatkiem lodów waniliowych.

- Nie, dziękuję - odparł, potrząsając głową. - Nie zamawiałem ciasta.

- Wiem, ale został mi ten kawałek - oświadczyła, stawiając przed nim talerzyk. - Nie ma co wkładać tego do gablotki. Może będzie ci smakować.

Rafe spojrzał na nią ze zdziwieniem. Ciemne kręcone włosy okalały ładną miłą buzię, a wystający brzuch wskazywał, że jest chyba w szóstym miesiącu ciąży.

- Mogę kupić sobie ciastko, jeśli będę miał ochotę.

Skrzywiła się.

- Ojej! Darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby. Nie lubisz dostawać prezentów, co?

Jej uśmiech wcale go nie rozchmurzył. W końcu Rafe miał ważne problemy do rozstrzygnięcia. Czy powinien zdecydować się na związek z Shelley?

- Muszę się nad czymś zastanowić - powiedział.

- Lepiej się zastanawiać, jedząc ciastko. - Popchnęła talerzyk jeszcze dalej w jego stronę. - Z doświadczenia wiem, że kiedy smutny człowiek



zastanawia się nad czymś, powinien zjeść kawałek ciasta. - Pokiwała mądrze głową. - Wiem także, że pewnie myślisz o tym, co powiedziałaś swojej kobiecie i jak masz odzyskać jej względy, nie tracąc przy tym dumy. - Wzruszyła ramionami i pochyliła się ku niemu. - Powiem tylko jedno słowo: czerwone róże.

Trzeba przyznać, że była uparta. Może sympatyczna, a może po prostu wścibska.

- To dwa słowa.

- Ale jeden pomysł.

- To prawda. - Uśmiechnął się. - Skąd wiesz, że to ja zawiniłem?

- Żartujesz? Czy to ma jakieś znaczenie?

- Oczywiście.

Spojrzała na niego z wahaniem.

- W tej sytuacji nie liczy się logika ani wina. Jedyne, nad czym powinieneś się zastanawiać, to jak wywołać na jej twarzy uśmiech. - Wzruszyła ramionami. - Czerwone róże.

Zerknęła na niego figlarnie i zniknęła. Lecz Rafe już tego nie zauważył.

Olśniło go.

Był idiotę.

Oczywiście to żadna rewelacja, ale nawet nie zdawał sobie sprawy, jak jest głupi. Zezłościł się, bo Jason ukradł jego pomysł i przedstawił go w konkursie. Poza tym nie mógł pogodzić się z faktem, że Shelley była kiedyś związana z tym facetem. Zżerała go zazdrość. I myślał, że to jest największy problem.

Wcale tak nie było. Dobrze wiedział, że Shelley nie zdradziła Jasonowi jego planu. Niejeden raz udowodniła, że nie chce mieć nic wspólnego z tym człowiekiem. Na czym więc polegał problem? Na tym, że on sam zachowywał

się jak duże dziecko. Chciał, żeby cały świat okazywał mu współczucie. Czyż nie?

Skąd wziął się jego infantylny nastrój? Ze strachu, z czystego strachu przed zaangażowaniem się w poważny związek. Samotność była bezpieczniejsza. Spojrzał w górę ku niebu. Millie zapewniała, że matka tam jest. Być może. Na wszelki wypadek przelotnie się uśmiechnął. Momentalnie ogarnęły go ciepło i spokój.

Hej, mamó! - bezgłośnie poruszył ustami. Potem wziął widelec i zaczął jeść wiśniowe ciasto.

Godzinę później Rafe wkroczył do budynku Allman Industries, gdy jego siostra Jodie właśnie wychodziła z działu zasobów ludzkich.

- Gdzie się podziewałeś? - spytała. - Tata zwołał posiedzenie w sali konferencyjnej. Cieszy się jak dziecko. Gratuluje zespołowi i zachwyca się pucharem. Powinieneś tam iść. Nie możesz zignorować takiej uroczystości.

Skrzywił się.

- Chyba nie mam wyjścia.

Wsiadł do windy i wysiadł na ostatnim piętrze. Z naprzeciwka zbliżał się prawie cały zespół.

- Hej, już się skończyło?

- Właściwie tak - odparła z uśmiechem Candy. - Ale Shelley rozmawia jeszcze z twoim ojcem. Gdzie byłeś?

- Coś mnie zatrzymało po drodze.

- Musisz zobaczyć, jak wspaniale ten puchar wygląda na naszym stole.

Ho, ho!

- Jeszcze lepiej będzie wyglądać w gablotce.

- Jakiej gablotce?

- Tej, którą zrobimy.

Jej twarz się rozpromieniła.

- O, tak!

Rafe ruszył do sali konferencyjnej. Ojciec siedział u szczytu stołu. Chudy, siwowłosy Jesse Allman mimo choroby wyglądał groźnie.

- Hej, tato! - rzucił Rafe, siadając z prawej strony obok niego. - Słyszałem, że podoba ci się ta stara blaszanka, którą przywieźliśmy do Chivaree.

Z biciem serca zerknął na Shelley, chcąc się zorientować, co ona myśli. Stała, przyciskając do piersi stos folderów, jakby zaraz miała wychodzić. Ale jej twarz była w cieniu i Rafe nie mógł nic wyczytać z jej oczu. Posmutniał, odwróciwszy głowę, i nie chciał nawet słuchać tego, co mówi ojciec.

- Tak. Zdobyliście piękne trofeum - powiedział Jesse Allman, spoglądając z aprobatą na Shelley. - Jestem dziś bardzo szczęśliwy. - Uśmiechnął się, błyskając złotym zębem. - Dobrze, że posłałem wam na pomoc Matta. To najmądrzejsza rzecz, jaką zrobiłem w życiu. Zawsze możecie na niego liczyć.

Shelley zeszywniała. Zerknęła na Rafe'a i szybko odwróciła głowę. Czy powinna coś powiedzieć? Nie, to byłoby nie na miejscu. Ale jeśli Rafe nie zareaguje...

- Chwileczkę, tato! - zawołał ku jej zdziwieniu. Na jego twarzy malował się spokój, ale we wnętrzu chyba coś się kotłowało. - Skąd przyszło ci do głowy, że Matt miał z tym coś wspólnego?

- Przecież wysłałem go do was, tak?

- Oczywiście - odpowiedział powoli, zerkając w oczy Shelley. - Jego obecność na pewno podniosła nas na duchu. - Zawahał się. - Ale załatwił swoje prywatne sprawy i zjawił się dopiero na finale. Całą pracę wykonała jed-

na osoba. - Rafe odwrócił się, spoglądając na Shelley. - Ta, którą masz przed sobą.

Jesse zrobił niezadowoloną minę.

- Wiem, że Shelley świetnie się spisała. Podziękowałem jej i powiedziałem, że dostanie nagrodę, tak jak cała reszta zespołu.

Rafe potrząsnął głową, zaciskając szczęki.

- To za mało.

Jesse zmarszczył brwi. Nie był przyzwyczajony do tego, żeby ktoś mu się sprzeciwiał, a już na pewno nie jego dziecko.

- O czym ty, do diabła, mówisz, chłopcze?

Rafe nie bał się, że ściągnie na siebie gniew ojca.

- Mówię o tym, że Shelley Sinclair objęła przewodzenie, kazała mi usunąć się na drugi plan, przedstawiła świetny pomysł i dokonała wspaniałej prezentacji na konkursie. Jednym słowem wykazała wszystkie cechy świetnego menedżera.

Shelley zapało dech w piersi. Rafe przez cały czas nie spuszczał z niej oczu.

- Powinna dostać coś więcej niż nagrodę - mówił dalej pewnym głosem. - Powinna dostać awans. Mamy diabelne szczęście, że chce u nas pracować.

Shelley była wzruszona tymi pochwałami. To cudownie, że ktoś docenił jej pracę. Ale nagle uświadomiła sobie, że bardziej niż wszystkie nagrody i awanse na świecie wolałaby jeden ciepły i serdeczny uśmiech Rafe'a.

- No dobrze - rzucił niechętnie Jesse, ściągając brwi. - W porządku. Porozmawiam z Mattem. Zobaczymy, czy ma dla niej jakieś miejsce.

- Nie - odparł stanowczo Rafe. - Tym razem ja sam się tym zajmę.

- Zaraz, zaraz - obruszył się Jesse. - To ja jestem prezesem tej firmy...

- A ja praktycznie jestem dyrektorem zarządzającym. - Przeniósł wreszcie wzrok z Shelley na ojca. - Podjąłem decyzję. Chcę, żeby Shelley kierowała planowaniem rozwoju firmy.

- Co? Ona nie ma do tego kwalifikacji!

- To moja decyzja, tato. - Wstał i stanął obok Shelley. - Teraz musimy ją przedyskutować. Przedstawię Shelley naszą ofertę i zobaczymy, czy ją przyjmie. - Położył rękę na jej plecach, eskortując jednocześnie na korytarz. - Zawiadomię cię o jej decyzji. Na razie, tato.

Jesse złorzeczył pod nosem, ale oboje nie mieli ochoty tego słuchać. Shelley aż zakręciło się w głowie. Tak się cieszyła, że Rafe wreszcie pokazał ojcu, że nie będzie z uśmiechem znosić jego apodyktycznych rządów. Bardzo dobrze. Była uradowana, że pomyślał o nowym stanowisku dla niej. Od dawna o tym marzyła. Tylko że to wciąż nie rozwiązywało ich problemu. Wyraz jego twarzy nie był pocieszający. Chciał, żeby dostała awans, ale czy chciał trzymać ją w ramionach?

Wsiadli do windy, żeby zjechać na piętro, gdzie pracowała Shelley. Rafe przedstawił jej nowy zakres obowiązków i warunki płacowe. Shelley kiwała głową, słuchając z roztargnieniem jego słów. Oczywiście to była wspaniała oferta. Lepsza od tego, o czym kiedykolwiek marzyła. Lepsza, niż pozwalała jej żądać ambicja. Ale Shelley jej nie przyjmie.

Wysiedli z windy i zatrzymali się na pustym korytarzu.

- No i co? - spytał. - Czy jesteś zainteresowana tą ofertą?

Uniosła głowę, spoglądając mu w oczy. Czy on naprawdę myślał, że wynagrodzi jej w ten sposób rozczarowanie? Zaproponuje świetny awans, a ona go przyjmie? Rachunki zostaną wyrównane. Rafe nie będzie już musiał się o nią martwić. Będzie się zachowywać tak, jakby nic się nie stało podczas tego

weekendu. Nie będzie musiał składać żadnych obietnic ani deklaracji. Ani ryzykować.

Kiedyś myślała w ten sam sposób. Tylko że to nie przyniosło jej szczęścia.

- To świetna propozycja - powiedziała - ale nie mogę jej przyjąć.

- Co ty mówisz?

- Nie mogę z tobą pracować.

Zmarszczył brwi, przeczesując dłonią ciemne włosy.

- Myślałem, że wyjaśniliśmy sobie te głupstwa, Shelley...

- Tak. Ale to są inne głupstwa.

Z wysiłkiem próbowała się uśmiechnąć. Czy będzie miała odwagę to zrobić, czy też pozwoli, by przepadła jej ostatnia szansa?

Wzięła bardzo głęboki wdech i wyprostowała się, unosząc brodę. Potem spojrzała mu w oczy, modląc się w duchu, by nie załamał się jej głos.

- Widzisz, Rafe, jestem... jestem w tobie zakochana.

Na jego twarzy odmalował się szok. Shelley była zdruzgotana. Nie spodziewał się tego. Czy zdziwiłby się tak, gdyby ją choć trochę kochał?

- Chyba rozumiesz, że w tej sytuacji nie mogę z tobą pracować. No bo ty mnie nie kochasz.

Położył ręce na jej ramionach i spojrzał prosto w twarz.

- Kto powiedział, że cię nie kocham? - spytał dziwnie ochryplym głosem.

- No, myślałam...

- Musisz mi wybaczyć, Shelley - powiedział. - Nigdy przedtem nie byłem zakochany. Jestem nowicjuszem.

Rozkoszny dreszcz przebiegł jej po plecach, ale bała się uwierzyć w niespodziewane szczęście. Przecież Rafe powiedział tylko, że nigdy nie był zakochany.

- Myślisz, że może...?

Zmarszczył brwi. Był niespokojny, a zarazem bardzo szczęśliwy. Nie ma co się oszukiwać. Czy chce tego, czy nie, i tak ją kocha. Wiedział, że to miłość, bo czuł się tak dziwnie - i nic nie mógł na to poradzić.

- Wcale nie „może”, Shelley. Bez przerwy o tobie myślę. Śniesz mi się każdej nocy. Nigdy nie przejmowałem się tak żadną kobietą. Przez cały czas chciałem być przy tobie. Myślę o tym, jak cię uszczęśliwić. To musi być miłość.

Cicho się roześmiała, kręcąc głową.

- Albo ciężka grypa - powiedziała z czułością. Radość wypełniała jej serce. - Jednak jestem skłonna się zgodzić, skoro tak twierdzisz.

Uniósł jej brodę.

- Nie mam wyboru - przyznał, czując się bezradnie. - Kocham cię, Shelley.

Z okrzykiem radości rzuciła mu się na szyję. Objął ją mocno, obsypując pocałunkami jej śliczną twarz. Potem jego usta odnalazły jej wargi i ich pocałunek stał się namiętny.

Nagle drzwi windy otworzyły się i ukazał się Jesse Allman. Spojrzał na swego syna i Shelley, po czym ruszył w ich stronę, postukując laską.

- Powiedziałem tylko, że możesz ją awansować - rzucił gniewnie. - Chyba posuwasz się za daleko.

Odsunęli się od siebie, a Rafe uśmiechnął się do ojca.

- Idę na całość, tato. Nie spocznę, póki nie poślubię tej kobiety.

Jesse odchrząknął i ruszył dalej.

- Lepiej poradź się Matta, zanim wpakujesz się w kłopoty - rzucił przez ramię.

Shelley wstrzymała oddech, spoglądając na ukochanego. Ale skoro on się śmiał, to i ona wybuchnęła śmiechem. Była tak wniebowzięta, że nic nie mogło zmącić jej szczęścia.

- Chodź - zaproponował, przyciągając ją do siebie. - Pójdziemy tam, gdzie nikt nie będzie nam przeszkadzać.

- Dobrze, szefie - odparła, dotykając jego policzka czubkami palców. - Prowadź.

- Och, zaczekaj - powiedział, sięgając do kieszeni marynarki. - Zapomniałem ci to dać. - Wyjął wymiętoszoną czerwoną różę i wręczył zaskoczonej Shelley. - W tym całym cholernym miasteczku znalazłem tylko jedną.

Wzięła ostrożnie różę.

- Skąd ją masz? - spytała.

Rafe miał speszoną minę.

- Pamiętasz panią Kurt, która uczyła nas w piątej klasie? To z jej podwórka. Musiałem stoczyć walkę z jej starym bloodhoundem. Ledwo uszedłem z życiem.

Shelley się roześmiała. Połamana róża miała piękny odcień czerwieni.

- Dlaczego? - spytała, potrząsając głową.

- Podobno tak trzeba - odparł z niewinną miną. - Nie podoba ci się?

- Bardzo - przyznała łamiącym się głosem.

Przygryzła wargę. Zasuszy różę na pamiątkę tego cudownego dnia.

Uniosła głowę, uśmiechając się promiennie do Rafe'a. W jej oczach błyszczały łzy wzruszenia.

- To nic, że jest trochę połamana - stwierdził Rafe. - Najważniejsze, że to symbol. Moje serce należy do ciebie.

Shelley przytuliła różę do policzka.



- Dziękuję - powiedziała, uśmiechając się wdzięcznie do Rafe'a. - Tej oferty nie odrzucę.



RS